

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 25-26

Poniedziałek, 15 czerwca, 1942

Cena (Price) 9d.

TREŚĆ:

Narodami Kierują Idee — Edward Sojka
Kultura Polska — Roman Dmowski
Literatura przegrała wybuch tej wojny — Stanisław Kowalski
Stan wojenny a cenzura — St. W.
Przebudowa gospodarczo-społeczna Polski — Witold Łęgowski
Sądy Morskie — Urban Krzyżanowski
Horyzont Wojenny: Na przełomie — Junius
Noty i uwagi:
Gospodarka siłami lotniczymi
Polska niemodna
Projekt organizacji władz wojskowych
Wolność słowa
Manifestacje na Trafalgar Square
Klepsydra Boya
Polemisci "Dziennika Polskiego"

Z Prasy i Publicystyki:
Problemat Rosyjski
Tolerancja Sowiecka
Problemat Japonii
Opinia publiczna a planowanie przyszłości
Primum vincere deinde philosophari
Cenna instytucja
Żydowski National Home
Niedopuszczalne procedery
Beniowski
Bronisław Malinowski
Książki:
Aldous Huxley: Grey Eminence
Dyskusje:
O polskie radio
Odpowiedź
Dziwne Praktyki na zjeździe Architektoniczno — Budowlanym

NARODAMI KIERUJĄ IDEE

"DZIEN w dzień mówią nam z różnych stron, co będziemy musieli robić po wojnie.

Mówią nam, że musimy zbudować lepszy świat, niż ten o którym śniliśmy, my lub nasi przodkowie; musimy przystąpić do światowego "naukowego planowania" (planowanie wszelkiego rodzaju stało się modne), musi być powszechna sprawiedliwość, rozbrojenie, mniej nacjonalizmu, a więcej internacjonalizmu, demokracja, — wszędzie (nawet dla tych, którzy jej nie lubią, nie są do niej przyzwyczajeni i nie potrafili jej wykorzystać), powszechna federacja "Federal Union" z międzynarodową policją (aby zaoszczędzić nam wydatków na utrzymanie własnych sił), dostęp do surowców (jak gdyby ludzie nie mogli mieć surowców jakichby tylko chcieli, gdy tylko będą zdolni za nie zapłacić — i jak gdyby kiedykolwiek mogli je dostać, gdy nie będą w stanie za nie płacić).

✓ Ci samozwańczy prorocy nie mówią nam, jak i w jaki sposób te wszystkie dobre rzeczy mają być osiągnięte, zresztą ich przewodnictwo w przeszłości nie zawsze mogło się poszczycić pomyślnymi wynikami."

Tak pisze z okazji angielskiego dnia imperialnego Quinton Varley w artykule ogłoszonym w Daily Mail 25 maja rb., uderzając w tych niepoprawnych marzycieli, którzy przestarzałymi receptami z kuchni międzynarodowo-pacyfistycznej chcą zbawić świat, a w rzeczywistości zmierzają, jak po ostatniej wojnie, do pozbawienia nas owoców zwycięstwa.

W wygłoszonym również z okazji dnia imperialnego przemówieniu, Duff Cooper zaapelował do dumy narodowej Brytyjczyków, podejmując podobne motywy i argumenty.

Wspomniane słowa, choć nie do Polaków skierowane, witamy pełnym uznaniem. Są one w pełni aktualne i dla nas.

Jesteśmy pod ostrzałem wytężonej propagandy antynarodowej, która często używa istniejących w tym kraju tradycji i zwyczajów wolnościowych, aby usprawiedliwić swoje nieraz antypolskie wystąpienia.

Przyjrzyjmy się naszej dawnej i wczorajszej przeszłości. Żadne państwo w Europie nie prowadziło w okresie przed upadkiem Królestwa Polskiego bardziej liberalnej demokratycznej polityki. Żadne państwo nie było bardziej pacyfistyczne od Polski. W nagrodę spotkały ją rozbiory i zapomnienie ze strony większości państw europejskich. Wskrzeszone w 1918 roku państwo polskie lojalnie wykonywało międzynarodowe zobowiązania, w polityce wewnętrznej zapewniło pełną swobodę działania mniejszościom narodowym, pozostawiając mimo odruchów społeczeństwa polskiego żydom przewagę gospodarczą, a mniejszości niemieckiej pełną swobodę polityczną. Mimo to, po katastrofie we wrześniu 1939 roku natychmiast znaleźli się tacy, którzy oskarżaniem nacjonalizmu polskiego usiłowali tłamać rzekomo sromotną klęskę militarną Polski. Dążono do "odnarodowienia" życia naszej emigracji w okresie "francuskim." Pamiętamy wszyscy dobrze jak we Francji dla poczucia godności narodowej nie było zrozumienia, pamiętamy, że w żołnierza polskiego wmawiano, iż jest w armii "ochotniczej," lub "obywatelskiej." Unikało się jak ognia przymiotnika "narodowy." Szukano wielu przymiotników, byle nie użyć słowa, którego treść budziłaby ducha narodowego w walczących szeregach. A jak jest obecnie? Jadącym z Sowieców do W. Brytanii lotnikom już w czasie podróży na statku improvizowani profesorowie sugerowali nieobjawianie uczuć narodowych, gdyż jadą do "kraju klasycznej demokracji." Różni pisarze — jak o tym mowa na innym miejscu — wysilają się w formułowaniu rozkładowych teorii, zalecanych jako jedyne fundamenty naszej przyszłości. "Planowcy" — najczęściej tacy,

k którzy swoich własnych spraw na najbliższy okres nie potrafią zorganizować — przekonywują nas o konieczności umieszczenia Polski w bloku "olbrzymich przestrzeni," aby w bezładnej federacji zgubić odrębności narodowe. Wmawiają w nas, że tylko tym sposobem uniknąć możemy następnej wojny.

Utopiści nigdy nie giną, bo w szeregach walczących ich niema. Znow, jak po pierwszej wojnie światowej, usiłują teraz w czasie trwania obecnej pozbawić Naród Polski jego poczucia godności, pewności siebie i odrębności, karmiąc go fantastycznymi iluzjami przyszłego szczęścia, w którym granice państwa nie miałyby mieć żadnego znaczenia, a niebezpieczeństwo byłoby zapewnione pod tylko jednym warunkiem, że Naród Polski porzuci swe narodowe ambicje, rozplynie się w bezbarwnym internacjonalizmie.

Uważamy takie poczynania za typową robotę "pour le roi de Prusse." Stwierdzamy, że dotąd w historii patriotyzm polski nikomu nie zagrażał, żadnej wojny nie wywołał, że natomiast osłabiona pacyfistycznymi teorjami Polska łatwiejszą stawała się dla niepohamowanej niemieckiej zaborczości zdobyczą.

Stwierdzić trzeba z naciskiem, że na kontynencie europejskim pokój przeciw zachłanności niemieckiej może zapewnić tylko na zdrowych narodowych zasadach zbudowane polskie państwo narodowe, każdy zaś inny ustrój rozleci się pod siłą uderzenia wcześniej czy później odrodzonych po tej wojnie Niemiec, podobnie jak to miało miejsce w tej wojnie z potęgą frontów ludowych.

Czerpiąc doświadczenie z przeszłości, nie zapominamy, że nigdy w historii żaden naród tyłu własnych korzyści nie

poświęcił na rzecz pokoju i wolności, co nasz. Za wiarę w istnienie abstrakcyjnej dobroci różnych internacjonalizmów zapłacił wiekową niewolą. Nie zapominamy również, co wzamian uzyskał, a właściwie czego nie uzyskał. Pamiętamy, że w braku realnych korzyści nie znalazł nawet uznania czy poklasku u heroldów międzynarodowych złudzeń.

Dziś znow Naród Polski prowadzi zaciętą walkę dla znalezienia właściwej mu idei, któraby kierowała bezpiecznie jego rozwojem w przyszłości. Biję się o to przeszło 100.000 Polaków na różnych polach walki, stawia zacięty opór najeźdźcy cały naród polski. Skrępowana przez okupanta myśl mimo trudności szuka ratunku i oparcia w idei narodowej.

Tymczasem tu, gdzie ułamki organów politycznego kierownictwa narodu działają w obcej atmosferze, oderwane od własnego społeczeństwa — różni utopiści i snoby literackie widzą jako cel swego działania pozbawienie grupy emigracyjnej zdrowego poczucia narodowego. Dążą do tego aby powracające kiedyś do kraju społeczeństwo emigracyjne stało się rozsądnikiem międzynarodowych idei.

Wysiłki wszystkich wrogów polskiego obozu narodowego zleją sprawie służyć. Udanie się tych wysiłków równałoby się przegraniu pierwszej bitwy w przyszłym, odległym może starciu z niemieckim odrodzonym imperializmem. Oskarżamy tych wszystkich, którzy w ten obóz uderzają o działanie na korzyść wroga, o działanie na korzyść Niemiec.

Mimo ich szantażu nie zaprzestanie się walki o zapewnienie Narodowi Polskiemu rozwoju w oparciu o ideę narodową.

Edward Sojka.



Dzięki warunkom wychowania współczesnego, dzięki zbyt troskliwemu przeważnie a nieumiejętnemu kierowaniu umysłem dziecka w domu, dzięki nedorzecznemu, niemieckiemu systemowi szkolnictwa, panującemu we wszystkich trzech państwach rozbiornych, dzięki świadomemu wypaczaniu myśli w szkole rosyjskiej na gruncie polskim, ludzie nowego pokolenia u nas umieją się uczyć tylko z książki. Z życia zdolni są, i to niezawsze, brać fakty, będące wyraźną ilustracją tego, czego się z książki nauczyli. Poza tym zaś nie umieją ani spostrzegać, ani wyciągać wniosków z tego, co widzą

Nawet o sprawach bieżących, o życiu społecznym i politycznym na obczyźnie mówią czasem jak ludzie całkiem nowocześni. Wszystkiego tego się nauczyli, bo mieli gotowe wiadomości i gotowe recepty myślenia w książkach, broszurach i artykułach. Ale o najdonioślejszych dla nich rzeczach, o ogólnych zagadnieniach ich własnego bytu narodowego, tak jak je dziś życie zmienia i wytwarza, nikt im książek nie napisał. Pozostali więc na nie ślepi i w całokształt ich pojęć własna sprawa narodowa albo wcale nie wchodzi, albo też wchodzi jako martwa formuła, według szablonu wytworzonego na zachodzie jeszcze w roku 48, lub jako kwestja raczej literacka, przeniesiona przeważnie w całości z wielkiego okresu poezji naszej, kiedy patriotyzm był głównym jej kierunkiem, iluż to jest ludzi, którzy mówiąc o obcych krajach, powołują się na mężów stanu, dziejopisarzy, przytaczają fakty i cyfry, — gdy zaś zaczepimy ich o najistotniejsze zagadnienia własnego bytu narodowego, nie umieją wybrnąć poza Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego ! . . . Prawda, że geniusz ostatnich głębiej sięgnął w kwestie narodowo-polityczne, niż jakakolwiek inna poezja świata ; prawda, że my jeszcze jesteśmy tak mało uspołecznieni, tak mało ucywilizowani politycznie, iż chcąc być "dobrymi [Polakami]" musimy robić sobie z patriotyzmu religję, a każda religja musi mieć swoje księgi święte ; ale nawet najreligijniejsi ludzie umieją oświećlać kościoły eletrycznością, gdy my w swej świątyni narodowej palimy stare woskowe świece !

ROMAN DMOWSKI

"Myśli Nowoczesnego Polaka"

Stanisław Kowalski

LITERATURA PRZEGRZAŁA WYBUCH TEJ WOJNY . . .

“Świat nie pyta: cośmy mówili? . . .
ale czyśmy zapobiegli nieszczęściu.”
B. Prus.

PRZYJDZIE czas, kiedy w uspokojonych już latach zacznie się systematyczne, dokładne badanie przyczyn, które spowodowały wybuch obecnej wojny. Zostanie przed trybunałem myśli wytoczony wielki proces sprawców owego nieszczęścia: ludzi, grup, środowisk, zbiegów okoliczności, prądów społecznych i ruchów ideowych, które spowodowały ten zbiorowy szal mordowania. Badani będą nie tylko sami sprawcy, ale i ci również, którzy, mogąc przyczynić się do zapobieżenia nieszczęściu, niedość energicznie o to się starali.

Nikt zresztą nie ujdzie badaniu. Na wielkim podjum przesłuchań stanie do dawania wyjaśnień również świat literatury, świat potężnych prądów literackich, które przeciągały środkiem społeczeństw w czasie dwudziestolecia, poprzedzającego drugą wojnę światową. Wydaje mi się, że na podstawie tego przesłuchania może powstać zarzut w stosunku do literatury o ciężkie zaniedbanie powinności.

Poruszając tu zagadnienia z zakresu społecznej roli literatury, pragnę w wstępie wyjaśnić, że pod tym mianem wprowadzam dwa uproszczenia. Po pierwsze, używając rzeczownika “literatura” będę rozumiał pod tem nie sam produkt pracy pisarskiej, książkę, dzieło literackie, utwór, czy zbiór utworów, ale kościół ideowy myśli literackiej w danym okresie. Powtóre, mówiąc o “literaturze” okresu przedwojennego i obecnego, o jej charakterze i obliczu nie będę określał całej literatury, bowiem nie zdarza się tak nigdy, aby cała myśl literacka bez wyjątku była nastrojona na jeden ton ideowy, zawsze zdarzają się odchylenia; mowa natomiast będzie o p r z e w a ż a j ą c e j części myśli literackiej, i jej charakterze, dominującym w danym okresie czasu.

Nie ulega wątpliwości, że świat intelektu literackiego w czasach poprzedzających tę wojnę przedstawiał sobą jedno z tragiczniejszych zjawisk, jakie znają dzieje kultury. Literatura, jak rzadko kiedy w dziejach, była w niezgodzie ze swoim czasem, ze swymi środowiskami. Rozwijała się i tworzyła m i m o nich, a nie w ich obrębie. Nie tu jednak jeszcze tkwi największy jej tragizm. Przecież w najlepszych nawet okresach literackich zdarza się niemal zawsze tej znikomej gromadce nierozumianych ludzi, którzy tworzą literaturę, stać przeciw potocznym sądom, zwyczajom i inklinacjom środowiska. Jest ona bowiem sumieniem, dźwignią i ramieniem postępu.

Błąd ubiegłego dwudziestolecia tkwi w tym, że owo “stanie przeciw środowiskom” dokonywało się w imię absolutnej fikcji, nie posiadającej oparcia w narastającej rzeczywistości społecznej. Literatura tworzyła w absolutnej próżni, literatura szła m i m o tendencji więc i tęsknot swego pokolenia, bez istynktu wyczuwającego zbliżającą się katastrofę. Zupełnie łatwo byłoby przeboleć fakt skłócenia jej z większością społeczeństwa. Lecz ona niepamiętała również o owej nikłej mniejszości najlepszych, którzy od niej wyglądali znaków i wskazówek. Stojąc w konkretnym nurcie życia rozumieci straszliwą bezsilność i papierowość haseł przez myśl literacką wysuwanych. Zostawiała ich ona bez pomocy, bez wskazań, bez oparcia, rzuciła w szamotanie i rozpacz, w konieczność chwytania się zdradliwych paljatywów.

Przyszłość dopiero okaże, jaką część winy ponosi owa nie-ludzka postawa przedwojennej myśli intelektualnej za to, że najlepsi nawet ludzie w Polsce w ostatecznej rozterce rzucali się w pomysły najbardziej absurdalne i sprzeczne nieraz z logiką rozwojową dziejów polskich.

Literatura :

Kazała rzucić broń o bruk wówczas, gdy już nawet człowiek ślepy mógł dostrzegać, że wzbierają siły zniszczenia, jakich dotąd nie znał świat.

Rzuciła haszysz kliwego pacyfizmu wówczas, gdy już było wiadome, że się trzeba będzie bronić.

Żyła w próżni złudzenia, w wizji świata nieprawdziwej, świata istot uduchowionych i nieznających przemocy, w chwili, kiedy młoty wielkich pieców kuły już łuski bomb tysięcznych, od których giną tysiące ludzi.

Można boleć, że świat nie wygląda inaczej, można czuć się w nim wiecznym przypadkiem i nieporozumieniem; skoro jednak przystępuje się do jego kształtowania i urabiania, trzeba przecież wybrać za punkt wyjścia do swojej misji tego konkretnego świata rzeczywistość. I rozumieć, że na kilka lat przed wojną można było jedną tysięczną częścią tych środków mordy, które się obecnie wytwarza i, co tu gadać, stosuje — wstrzymać wybuch wojny. Misjonarz w szkółce dzikusów również nie rozpoczyna swej nauki od razu od przykazań padania w objęcia wrogowi, ale naprzód odzwyczaja od ludożerstwa. **Literatura, literacka myśl intelektualna, stanowiąc potężne narzędzie kształtowania zbiorowej psychiki społeczeństw, mogła była zabiec drogę tej wojnie.** I nie obroni od odpowiedzialności twierdzenie o najlepszych jej intencjach i najbardziej gromkich deklaracjach antywojennych — wobec faktu, że przecież zginęły miliony ludzi, a propagowany pacyfizm zamiast coś istotnie pomóc przyczyniał się tylko do szybszego ekspedjowania ich na drugi świat.

Ten ciężki zarzut odnosi się do literatury, jako całości uniwersalnej w danym okresie czasu, do tonu barwy i treści, jaka pojawiała się w przeważającej części dzieł literackich równocześnie we wszystkich krajach świata. Jeśli ekonomiści wysuwają na rzecz swej tezy scalania organizmów państwowych w wielkie bloki gospodarcze — argument przenikliwości procesów gospodarczych poprzez najbardziej szczelne odrutowania barjer celnych, to w stopniu jeszcze silniejszym owo zjawisko przenikliwości dotyczy prądów literackich. Rozchodzą się one niesłychanie szybko i sprawnie, obejmują świat pomimo jego podziałów. Można powiedzieć, że myśl literacka świata w dwóch dziesiątkach lat, przedzających obecną wojnę w przeważnej swej części miała wszędzie jednolity ton i barwę.

Nie tu miejsce na dokonywanie analizy tego zjawiska w skali światowej, obchodzi nas w tej chwili jeden odcinek tego wielkiego frontu literackiego, odcinek polski. W sposób niemal laboratoryjny można na naszych polskich stosunkach literackich z przed wojny ujrzyć problemy, które sprawiły, że literatura tych czasów nie sprostала swoim zadaniom.

Cechą zasadniczą polskiej literatury przedwojennej było zlekceważenie treści, jaką żyło środowisko polskie. Cała złożona i trudna problematyka życia Polski odrodzonej, wszystkie wielkie konflikty społeczne i polityczne, cała szarpanina młodego państwa, wstającego do nowego życia między dwoma zachłannymi imperjalizmami — wszystko to leżało poza zainteresowaniami literatów i pisarzy. Jeżeli tematy te dochodziły jednak do głosu w literaturze, pojawiały się one jako ornament, nie jako treść. Nie jest to bynajmniej wymaganie od literatury zajmowania się aktualnościami. Nie, nikt rozsądny nie będzie od niej tego wymagał. Ale jest rzeczą ponad wszelką wątpliwość pewną, że twórcza myśl literacka musi się odżywiać treścią życia swego środowiska. Nawet wtedy, gdy wybiega w przyszłość, punkt wyjścia musi mieć silne zaczepienie w teraźniejszości.

Jeśli się chce urabiać nowe pojęcia, trzeba wychodzić z zespołu tych, które dotąd znajdują się w obiegu, inaczej będzie się mówiło w pustkę. Wystarczy spojrzeć na przykład teoretycznych założeń i praktycznych osiągnięć t.zw. “poezji proletariackiej.” Pomimo jej kłócących się z obowiązującą estetyką przez swą skrajność założeń, poeci proletariacki wpływali przecież kształtując na swe środowisko, a równo-

częśnie, po początkowych nieporozumieniach, dochodzili nieraz do bardzo ciekawych osiągnięć artystycznych. Osiągali to, czego poezja bez przymiotników nigdy nie osiągała, iż utwory ich były istotnie pozywką mas, że ich wiersze huczały na zebraniach, meetingach i lekcjach uniwersytetów robotniczych. Wydaje się, że gdyby podstawy tematyczne tej poezji były szersze i powszechniejsze, to po okresie wstępnym, kiedy publicystyka goruje nad artyzmem, mogło z tej próby wiązania życia z literaturą przyjść wielkie odrodzenie twórczości literackiej.

Lecz nie tylko przez wybór, a raczej omijanie, tematu zaznaczał się ten tragiczny rozdział. Wyrażał się on również nawet w formie. Przyszły badacz życia literackiego będzie musiał dobrze rozgryzać sprawę formy, w jaką zakuwała się literatura czasów przedwojennych dobrowolnie, formy trudnej, sztucznej, afektowanej i odpychającej. Załamanie formalne dzieła literackiego w stosunku do rzeczywistości zakładano na skrzywieniu i nienaturalności, którego jedynym rezultatem było, miast olśniewających zdobyczy artystycznych, zniechęcenie czytelnika i częsty przerzut skrzywienia na samą treść. Wielu książek okresu przedwojennego nie chciało się poprostu czytać ze względu na dziwactwa faktury i stylu.

Zgodnie z charakterem owych lat, lat niesłuchanie jaskrawych i zarazem bardzo konkretnych, musiał obowiązywać i w literaturze realizm i konkret. Niestety, umknęło temu prostemu prawu, które właściwie zastosowane, zmusiłoby literaturę do zajęcia się potworną, narastającą treścią zdarzeń; był realizm, ale realizm osobliwy, "nowy realizm," "nowa rzeczowość," moda, rozkazująca pisarzowi urealnianie, ukonkretnianie złożonych stanów psychicznych jednostek anachronicznych i najzupełniej fikcyjnych. Mało który z okresów literackich wytworzył tak nieznośną manierę stylu powieściowego, jak to miało miejsce w latach 1920–1939. Tak więc i przez wybrany styl i przez formę budowała literatura zięjącą przepaść pomiędzy sobą a swoim środowiskiem.

Lecz nie tylko przez to. Budowała przepaść przedewszystkim przez to, co jest w utworze literackim poza formą, poza tematem, to jest przez jego wewnętrzną treść, przez ideę. Ktoś, kto patrzy na te czasy również z punktu widzenia ocen literacko-społecznych, przerazi się mizernością tej idei, którą niosła w owych przedburzowych latach literatura. Cóż za pociechę mogli czerpać ludzie, zgubieni w owym strasliwym czasie rozterki? ! Kola literackie wszystkich krajów wyznawały mdły liberalizm, klepały z papuzim uporem słusze zresztą i potrzebne, ale beznadziejnie bezsilne wobec idących zdarzeń frazesy deklaracji wolnościowych. Snobizowały się na lewicowość. Ale bodaj by to była pasja porwanej gniewem społecznym na bezmyślność świata myśl lewicowa. Była to lewicowość salonowa, układna, anemiczna i dystygowana.

Pomiędzy Europą a zawieszoną nad nią pętlą strasznego przeznaczenia stawała wątłutka idea papierowych zawołań, słaba i błada, łowiąca mozolnie wyszukane słowa dla wyrażenia

swoich nic nie znaczących oświadczeń, przez zabieranie zaś miejsca i markowanie swego wysokiego powołania przyspieszając tylko chwilę zasiśnięcia się pętli. Nie była to w żadnym razie literatura walki, buntu, namiętnego protestu, podniesienia mas i narodów przeciw dopuszczeniu do nadejścia strasliwej rzezi. A nie była nią poprostu dlatego, że idea, jaką się żywiła literatura nie była zdolna do porwania mas. Panowała strasliwa dysproporcja dynamiki między siłami niszczenia a siłami rozsądku. Siły, które powinny były mieć rozsądek, trzymały się kurczowo swoich małych śmiesznych przesądów, niepozwalających naprzykład przez głupi snobizm wprowadzania do tematów literatury — tematów ostrzegających przed wojną, tematów nawołujących do przerwania siłą nadciągających katastrof. Zamiast łączyć się i sprzymierzać z tymi siłami i ogniskami myśli, które pracowały nad odwróceniem nieszczęścia, zamiast wzmacniać je, podnosić ich autorytet i dawać swoją sankcję.

Ludzie, którzy z najślusniejszych pobudek byli zdolni do organizowania gorących protestów z powodu pokrzywdzenia jednego człowieka, przez swoją krótkowzroczność, przez swój kabotyzm nie uczynili wszystkiego, aby nie zostało zamordowanych wiele milionów ludzi wśród najokropniejszych mąk. Jest to jaskrawe sformułowanie, niemniej mieści w sobie prawdę: nie jeden z tych, którzy leżą dziś w wykopanych przez siebie samych dołach strasznej śmierci, nadstawił głowę na salwę plutonu egzekucyjnego także i dlatego, że kilkanaście lat temu wielka mistrzyni i kształcicielka życia, literatura nie umiała stanąć na wysokości swego powołania. Był to błąd nie tyle charakteru, ile intelektu. Nie zrozumiano tego, że zjawiska mogą być bardziej złożone, niż je przecietny literat swoją wkutą dialektyką może zmierzyć. Na udźwignięcie problematyki zaradzenia nadciągającemu złu, trzeba większej siły intelektu i większej wyobraźni, aniżeli jej potrzeba do rozgryzania nastroju przy "cup of tea" w bombardowanym Londynie.

Wspaniała, imponująca była ta ich postawa, wzniosłych filozofów, patrzących na idący czas i zbliżającą się katastrofę z jakiegoś kosmicznego, mroźnego oddalenia. Zachowywali się nie jak żywi ludzie, nie jak zachowuje się również żywy pisarz, ale zachowywali się tak, jak sobie wyobrażali, że literat powinien się zachować. Więc celebrowali. I błędami frazesami na zjazdach Penclubów odczyniali uroki djabełskiej magii, która wtaczała się na świat krwią i męką. Stający w samotności do boju naród Polski, choć czas wojenny był pewny już od dobrych kilku miesięcy, wchodził w walkę bez jednego niemal wsparcia, jakim jest wzywające do poświęcenia słowo poety i pisarza.

Literatura tych czasów nie spełniła swej roli zapobieżenia katastrofie, choć mogła to uczynić. Literatura polska ostatniego dwudziestolecia (a tak było wszędzie) nie miała stygmatu wielkości, choć miała liczne wybitne talenty, doskonałych techników literackich i wiele dobrych książek.

Literatura przeżyła wybuch tej wojny . . .

. . . literatura przegrywa jej przebieg

Niestety, nie wiele się zmienia od wybuchu wojny. Wszyscy zgadzają się na to, że wojnę tę należy wygrać, ale niemal powszechnie pragnienia te i postanowienia zamykają się w płaszczyźnie zwycięstwa mechanicznego, nie zaś zwycięstwa w płaszczyźnie myśli. Nikt nie czuje się zobowiązany do bicia się w piersi i bodaj tylko do ponownego przemyślenia swych raz już przegranych założeń.

Układ warunków nie stoi w miejscu, lecz ulega bezustannym zmianom. Pojawiają się coraz to nowe zespoły zadań i obowiązków, dla których czas spełnienia mija, bez względu na to, czy zostały spełnione, czy nie. Zaraz potem nasuwają się nowe. Po zawieszeniu broni wybuchnie natychmiast nowa olbrzymia wojna, innego już coprawda typu, choć nie mniej ciężka i nie mniej odpowiedzialna: wojna o charakter pokoju po wygranej wojnie. Może się to przecież uożyć rozmaicie, jako wstęp do nowych krwawych zmagani, jako zygzakowata droga przypadku i wreszcie, jako świadomie, logicznie i sprawiedliwie układany plan życia pokojowego. Która z tych możliwości zapanuje po zakończeniu wojny, zależy to od naszego wyboru, od naszej woli i od naszej myśli. To, iż po poprzedniej wojnie nie zapanował pokój ale tchórzliwa fikcja pokoju było zależne od

tych samych koncepcji, które obecnie zgłaszają swoje bezapelacyjne prawo do decydowania, było żelazne i od tego jeszcze, że nie znalazła się dość znaczna liczba intelektów, któreby ów szantaż czy owo nieporozumienie odważyli się przejrzeć i złamać.

Wydawałoby się, że w takim okresie przedświtu szczególnie wiele ma do powiedzenia i do przemyślenia literatura, literaci. Takie czasy są dla nich egzaminem, choć niekoniecznie egzaminem pisarskim. Ciężkim egzaminem, bowiem wymagającym zrzucenia ze siebie wszelkiej pozy i wszelkich wieszczych dąsów, a jeśli trzeba, odrzucenie na jakiś czas, nawet łowiącego ozdoby i ornamenty, pióra. Potrzebne jest ich bezpośrednie wkroczenie w sprawy bieżące, nieodzowny wpływ nietylę samej literatury, ile społeczny wpływ samego pisarza łącznie z zespołem cech, które ten zawód reprezentuje: uczciwości myślenia, zdolności obserwacji, umiejętności wywoływania wizji i trafności odważnych syntez, na jakie rzadko ośmieli się ostrożny naukowiec.

Z chwilą wybuchu wojny stanął przed każdym pisarzem polskim na emigracji ciężki problem: jaka jest jego rola, jak się powinien zachować. Zarysowały się dwie możliwości: pierwsza, która dowodziła, że literat podczas wojny powinien

trzymać się jaknajdalej od wszelkiego niebezpieczeństwa, ba, od wszelkich aktualnych wojennych spraw, a tylko w ciszy, skupieniu i wygodzie snuć dalej swoje zasklepione wtajemniczenia, aby jego artyzm nie doznał przerwy w rozwoju, aby się uchował na chwilę wkroczenia do pokojowego życia, w którym wróg wyniszczy wszelkich pisarzy pozostałych w terenie; i druga możliwość, która wskazywała, że należy narazie odrzucić wszelkie pozy, gest i przywileje, a iść na służbę, na szaniec, na pierwszy odcinek frontu, na którym myśl i wyobraźnia jest równie potrzebna, jak karabin i tank.

W piśmie tajnym z Kraju p.t. "Wiadomości Polskie," w nr. 3, ze stycznia b.r. znalazł się artykuł, zatytułowany "Literaci polscy a wojna." Poruszona została tam sprawa, którą tu omawiamy.

"W szeregach literackich — piszą "Wiadomości Polskie" — padły liczne ofiary. Przepłacili one męczeństwem i śmiercią swoją walkę z wrogiem. Przechowamy to w najwdzięczniejszej pamięci, nie tylko dlatego, że ludzie ci stanęli w szeregu i zginęli jak przystało na żołnierzy sprawy narodowej, lecz, że nie poprzestali na pracy w zaciszu domowym i wyszli przeciw grożącemu niebezpieczeństwu.

Chcielibyśmy, aby grupa męcznych wzrastała. Chcielibyśmy, aby przyszłościowe i tradycyjne poczucie odpowiedzialności pisarzy za los Narodu i w tym strasliwym momencie dziejowym stało się przedmiotem ich najgłębszej troski oraz żywą treścią serca..." A dalej: "...Chcielibyśmy z ich uczuć, myśli, wyobraźni korzystać; potęgować siły moralne świadomością, że oprócz szarych "nieznanych żołnierzy" stają z nami solidarnie ramie przy ramieniu do walki o wolność — wybrańcy Narodu. Chcielibyśmy umocnić w sobie pewność, że twórczością jest nie tylko słowo pisane, lecz i budowana czynem rzeczywistość."

Pisarze polscy, znajdujący się na emigracji, wybrali w wytłaczającej swej części pierwszą z istniejących możliwości: izolację i cofnięcie się od spraw życia. Uważaćby należało za największą rozrzutność, gdyby tymi ludźmi gospodarowało się w oddziałach wojennych marnotrawnie. Ale wojnę dzisiejszą nie prowadzi się tylko oddziałami wojskowymi. Są odcinki wojenne, na których powinni się znaleźć pisarze. Takim odcinkiem jest nie tylko propaganda spraw polskich, w której zresztą biorą pisarze taki czy inny udział, ale przede wszystkim odcinek bezpośredniego zmagania się z narastającymi zagadnieniami, z zagadnieniami nie wybranymi dowolnie, ale narzuconymi przez subordynację służby narodowej. Polscy pisarze emigracyjni w propagandzie są (ich udział wymagałby zresztą osobnego omówienia), w służbie rozgryzania zagadnień — mimo markowania przez nich obecności — pisarzy polskich nie ma.

Sytuacja powtarza się się ustawicznie w ten sam sposób. Wystarczy przypomnieć lata od 1919–1922. Wszystko wewnątrz Polski, a zwłaszcza wokół niej bulgotało ustawicznym niebezpieczeństwem przemian; najlepsze, najofiarniejsze siły społeczne szły bez pamięci o sobie na te zagrożone peryferie: wytaczanie granic, obronę przed "nawałą," plebiscyty i powstania. A równocześnie po stołecznych brukach zawiązywały się grupy literackie, wypracowywały programy, gruntowały ideologie. Można przyjąć za pewnik, że to ów chronologiczny pośpiech "Picadora" i "Pro arte et studio" zaważył na barwie literatury polskiej ostatniego dwudziestolecia, a owo skolei zaważenie sprawiło ten strasliwy rozdział pomiędzy literaturą a społeczeństwem w przededniu katastrofy. Podobna rzecz grozi obecnie. To uchowanie się w zakątku, zdala od wielkich żywych problemów i decydujących wypadków — wpłynęło cichym korabiem odosobnienia do wyzwolonej od jarzma Polski i zaczęnie dalej snuć swe robótki noworealistyczne na mdłej pożywce lewicowego snobizmu, nie zetknawszy się nawet z tą kipiela, która będzie treścią życia polskiego, ba, całej Europy po wojnie.

Obraz prac polskiej literatury emigracyjnej w czasie wojny, widziany z dystansu — napętnia zdziwieniem i wątpliwością. Dłubią coś ci ludzie, ustrojeni w hieratyczną szatę dostojności; ani samej roboty ani jej rezultatów nie można bardzo dostrzec. Chciałoby się krzyknąć: "Powiedźcie u licha, co robicie." Wszystko w tak odpowiedzialnych czasach jest kontrolowane, obserwowane, oceniane i wspólnie decydowane, tylko ich prace, tylko ich czynności usuwają się z pod publicznej kontroli. A jeśli już je można parę razy do roku dostrzec z okazji naprzykład zebrań Penclubów, natenczas treść wygłaszanych przemówień aż rozgorycza swoją bezbarwną nicością, a ton zebrań, niechętnych Polsce albo zapominających o Polsce nasuwa myśl, że obecność polskich przedstawicieli jest chyba

tylko zdawkowa, skoro nie mogą oni nawet zainteresowania dla ważnych problemów polskich wzbudzić.

Czytałem niedawno buńczuczny artykuł, który mówił, że literatura wyrąbuje myślą przyszłość świata, że toruje jego drogi, że przygotowuje nowe życie. Takich artykułów ukazuje się wiele. Ten frazes o wyrąbywaniu, torowaniu i budowaniu jest już niemal sakralną formułą. Tak istotnie powinno być, ale tak nie jest. Należy zadać pytanie: Co ostatecznie polska literatura emigracyjna wywalcza, jaką niesie treść?

Jedyną koncepcją, jaką reprezentuje polska literatura emigracyjna przez swą zbiorową postawę jest czynnik emocjonalny raczej niż myślowy różnorodnych deklaracji o równości, wolności i braterstwie. Jest to ten sam konglomerat frazesów liberalno-lewicowych nic nie zmieniony, zupełnie nie precyzowany, nie odświeżony nawet warem nowej pasji i odważnych decyzji, tak dobrze znany nam z Polski. Pomieszanie najróżnorodniejszych formuł, haseł, zawołań, przyzwyczajęń sklejonych do kupy jedną emocjonalną postawą.

Podstawą obecnego i przyszłego świata jest i będzie myśl wolnościowa i demokratyczna. Myślę, że niema dziś człowieka, któryby nie czuł każdym nerwem i każdą myślą, iż innej kanwy dla przyszłego życia nie może być, nad tą; że to jest dobro, które ludzkość wypracowała i które w ostatnich latach próby wykazało swoją już ostateczną wartość. Zresztą każdy prawdziwy chrześcijanin nie potrzebował aż tak okólnych dróg, aby tego dociec, wiedział to już od dawna. Wolność i demokracja, tak, ale bez tego co możnaby nazwać fauną drobnoustrojów żerujących na tych osiągnięciach, fauną insektów, która jest przekleństwem każdego życia politycznego w formach demokratycznych, umiejących, jak w wypadku Francji, zniszczyć, lub gdzieindziej osłabić, całą siłę państwową i społeczną narodu.

Dokonuje się w tych czasach haniebny szantaż na tle niezdolności do zasadniczego rozróżnienia: że co innego jest zasada demokratyczna i wolnościowa, a co innego formy demokracji. Szantaż polega na tym, że formy, najróżnorodniejsze, bardzo dawne, dawne i wczorajsze, wysuwają się stosownie do potrzeby, podając je za samą treść, za samą zasadę. Niech się ktoś odważy bodaj głos podnieść w sprawie takiej przezwyciężonej formy, określenie — "faszysta" będzie najłagodniejszą formą zorganizowanego przeciw niemu terroru.

Polskiej literaturze emigracyjnej zarzucamy tolerowanie prymitywizmu myślowego. Bierze ona udział w owej powszechnej znowie i pomaga jej przez swą apatyczność i brak odwagi myślenia, która się jednak bezustannie pusto przechwala. Nie umie, czy nie chce literatura atrybutami swego zawodu zdekonspirować owej mgły płycizn i szacherek, pod którą kto wie jakie i czyje kotłują się interesy. Kto jak kto, ale właśnie literaci powinni rozumieć doskonale, że w zakresie form życia nie stoi w miejscu, że świat nabrzmiewa ciągle nową treścią i nie można ją ubierać w formy wczorajsze, bowiem pod tymi popręgami pękać będzie bezustannie katastrofą. Planowanie gospodarcze stoi w ostrej sprzeczności do wczorajszych wier demokratycznych i liberalnych, a jednak życie okazało się silniejsze nad bezmyślność i upór: dziś już nawet najupartsza ortodoksja godzi się na jego istnienie w przyszłości. Ten wyjątek wprowadzono bez większego sprzeciwu dlatego, iż go przemyciła do zespołu kanonów ekonomja. Lecz ile jest dziedzin życia, które muszą być na nowo w swych formach ładu przemysłane, a o których rozstrzygać musi nie ekonomista, tylko filozof i pisarz?

W słowniku wyzwisk, kierowanych do poprzednich rządów polskich na poczetnym miejscu stoi zarzut, że sanacja nie umiała zespolic w pracy nad państwem i dobrem powszechnym wszystkich sił biologicznych narodu, ale trzymała wiele jednostek poza możliwością pracy. Ten sam błąd powtarza się obecnie. Jeśli tego werbunku nie potrafi dokonać narzędzie polityczne, powinna to, zwłaszcza w czasie wojny zrobić literatura. Powiada się często, jako argument przeciw podjęciu tej inicjatywy, że ostatecznie zawsze będą istniały podziały na partie i kierunki, i nie ma co znów tak bardzo zabiegać o to aby je zbierać do wspólnego mianownika. Myślę, że dla zdrowia społecznego co pewien czas powinien jednak dochodzić do zbliżeń. Trzeba się zejść, zrozumieć i skonfrontować swoje poglądy, aby się móc później mądrze i z korzyścią

dla całości rozejść. Wojna i wspólne nieszczęście jest czasem, kiedy to można uczynić łatwiej, niż kiedykolwiek.

Liberaliści i postępowcy, którzy czują się niesłuchanie gromko w koniunkturalnym siodle, powiadają, że mowy nie ma o takich zejściach, bowiem pewne siły społeczne są nie doużycia, jako materiał drugorzędny, zetlały, zarażony i reakcyjny. Aby oddalić wszelkie pokusy sumienia całą wielką część społeczeństwa obrzuca się jednym skoncentrowanym epitetem — „faszyści.” Jest w tym i pogarda i strach, denuncjacja i radość z tego, że niepotrzeba myśleć, nie mówiąc o tem, że samo to zagadnienie jest niegodnym pisarza uproszczeniem myślowym. Jakże to, czyż nie właśnie literatury zadaniem jest przewalczenie pewnych stanów faktycznych, jeśli istnieją one istotnie, przekształcanie złych form na dobre? Czyż nie jej zadaniem właśnie jest praca nad tem, aby owe „reakcyjne” zastępy społeczeństwa tak urobić i przekształcić, by w pracy zespołowej już nigdy nie odważyły się zejść „poniżej dopuszczalnych norm”? Czyż naprawdę jedynym zadaniem literata w zakresie pracy społecznej jest rzucanie wyzwisk i potępień? I cóż ten literat właściwie myśli o tym, że te postępowane przez niego poglądy wyznaje trzy czwarte jego narodu? Więc wszyscy są faszystami, więc wszyscy myślą reakcyjnie? Więc cała ta siła jest tylko schorzeniem i pomyłką? Jej rozwój nic nie oznacza, nie niesie w sobie żadnej nowej treści?

Za symbol omówionych spraw uchodzić może pismo literackie, skupiające większość literatów polskich w Wielkiej Brytanii, miesięcznik „Nowa Polska.” I same nazwiska literatów i tytuł pisma ma wydźwięk programowy, dotyczący przyszłości. „Nowa Polska” — pismo polskiej literatury postępowej! To musi coś znaczyć. Człowiek, biorący to pismo do ręki, ma prawo się spodziewać, że znajdzie tam przemyślaną treść w zakresie tych wszystkich problemów przyszłościowych, o których tyle się gada. Że na szpaltach pisma aż wre, aż kipi, że krzyżują się poglądy, ścierają zapatrywania, że wydzwiga

się wizja nowego, pięknego świata.

Zamiast tego, pismo przynosi wspomnienia i przyczynki literackie, albo historyczne. I to w dwóch już kolejnych numerach. Z nielicznymi wyjątkami. Takim wyjątkiem jest „Deklaracja praw człowieka” wydrukowana w numerze drugim.

Cóżto znów za straszliwa beztreściwość. Przeróbka analogicznej deklaracji z języka angielskiego, uzupełnionej w tekście polskim poprawkami o niezależności politycznej państw. Gdyby takie uzupełnienie nie było dodane, żaden z deklaratorów nie mógłby się na oczy pokazać po powrocie nikomu, kto brał udział np. w obronie Warszawy. A z dodaniem znów uzupełnienia, jest deklaracja — przeinaczeniem. Deklaracja dotyczy nie samej Polski, akcent położony jest w niej na międzynarodowości. Inspiracja wzięta została z ruchów międzynarodowych. Uzupełnienie nie ma więc żadnego znaczenia, nie uznają go bowiem pewnie inicjatorzy.

W deklaracji wiele mówi się o niestosowaniu przemocy i wolności jednostki. Znowu te same mdłe, nieliczące się z rzeczywistością frazesy. Możeby zamiast deklarować rzecz, o którą zawsze będzie walczył każdy przyzwoity człowiek, ułożyć wprawdzie plan, jakby zagwarantować to, żeby narody co dwadzieścia lat nie zamieniały się w wielkie obozy koncentracyjne, a inne na stałe i chronicznie nie stawały z się za cichą aprobatą świata jednym wielkim „martwym domem.”

Punkt piąty deklaracji mówi: „Człowiek każdy ma prawo do płatnego zatrudnienia i swobodnego wyboru pracy. Człowiek każdy ma ponadto prawo do dachu nad głową, do odzieży oraz do zaspakajania wszystkiego, co czyni zadość pierwszym potrzebom życiowym” . . . Słuszne, najszlachetniejsze. Każdy z nas podpisuje się pod tym. Jedna tylko skromna uwaga: a może by tak naprzód ułożyć dokładne plany takiego urządzenia wszystkich zagadnień, aby ten piękny plan był wogóle możliwy? Czy nie potrzebna jest jakaś kolejność prac?

„Nowa Polska.” „Deklaracja praw człowieka” z uzupełnieniem w wersji polskiej.

Tak, to jest, niestety, symbol.

Stanisław Kowalski.

STAN WOJENNY A CENZURA

W LECIE 1940 roku Ministerstwo Informacji zwróciło się do wydawców czasopism polskich, ukazujących się na terenie Wielkiej Brytanii z prośbą o przysyłanie ministerstwu do cenzury swych wydawnictw. Naogół wydawcy prośbę ministerstwa potraktowali przychylnie. Różnie natomiast było z życzeniami co do zmiany lub usunięcia zakwestionowanych artykułów. Żądania te, zależnie od ich zasadności, przeważnie uwzględniano, czasami jednak, przechodzono nad nimi do porządku dziennego.

To porozumienie prasowe, oparte było wyłącznie na dobrej woli wydawców i świadczy dobitnie o chęci lojalnej współpracy z ich strony.

W dniu 28 kwietnia b.r. ukazał się „Dzienniku Polskim” artykuł p. St. St., którego autor usiłuje dowieść, w sposób przypominający nieco interpretację carowskie, że prasę polską na terenie Wielkiej Brytanii, obowiązuje prewencyjna cenzura, oparta, na polskiej ustawie o stanie wojennym.

Tego rodzaju stanowisko, omawiające niezwykle interesujący precedens w prawie i stosunkach międzynarodowych, wymaga szerszego naświetlenia.

Rzeczywiście, zgodnie z art. 79 ust. 1 Ustawy Konstytucyjnej oraz art. 1 ustawy z dnia 23 czerwca 1939 roku o stanie wojennym, z chwilą wybuchu wojny, Prezydent Rzeczypospolitej zarządza „stan wojenny na obszarze całego Państwa lub jego części.”

Czyż przy tym brzmieniu art. 79 Konstytucji, mogą zachodzić jeszcze jakieś wątpliwości, którego państwa stan wojenny ma dotyczyć?

Wydaje mi się że nie, bo przecież nie może Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej zarządzać stanu wojennego na terenie innych państw. Jest to tak jasne i logiczne, że nie trzeba nawet być znawcą prawa konstytucyjnego by na nie odpowiedzieć.

Ustawa o stanie wojennym wymaga pozbawienia zachowania przy jego wprowadzeniu pewnych przepisów formalnych,

znowuż wyraźnie świadczących, że dotyczą one ziem polskich. Brzmia bowiem:

„Zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej oprócz ogłoszenia w dzienniku ustaw, należy obwieścić w gminach, objętych stanem wojennym.

Zarządzenie wchodzi w życie na obszarze powiatu z dniem obwieszczenia w mieście powiatowym, a gdy warunki na to nie pozwalają, w mieście wojewódzkim.

Obwieszczenie powinno wymienić swobody obywatelskie, które ulegają zawieszeniu oraz skutki, jakie zawieszenie tych swobód pociąga za sobą.”

Przepisy te mają na celu poinformowanie każdego obywatela, że zaistniał stan wojenny, znacznie zaostrzający, obowiązujące w czasach pokojowych zasady prawne i dający szerokie uprawnienia władzom administracyjnym.

Zgodnie bowiem z art. 2 ustawy o stanie wojennym: „Zarządzenie stanu wojennego pociąga za sobą z mocy samego prawa, zawieszenie swobód obywatelskich ze skutkami, określonymi w art. 3-7 ustawy z dnia 22. 2. 37 r. o stanie wyjątkowym.” . . .

W szczególności więc wprowadzenie stanu wojennego automatycznie zawiesza wolność słowa, uprawniając władze administracyjne do wprowadzenia cenzury prewencyjnej, zawieszania czasopism, konfiskat i odbierania debitu, nadaje tymże władzom prawo internowania na czas trwania stanu wojennego lub krótszy;

upoważnia je do rewidowania mieszkań; zawiesza tajemnicę korespondencji i wreszcie zawiesza wolność zrzeszeń.

Widzimy więc, że wprowadzenie stanu wojennego uprawnia władze administracyjne do stosowania szeregu drastycznych środków wobec obywateli. Przyjmując za p. St. St., że ogłoszony w Polsce stan wojenny, rozciągnięty został na Wyspy Brytyjskie i logicznie rozumując, przyjąć należy, że

Dokończenie na str. 422.

Witold Lęgowski

PRZEBUDOWA GOSPODARCZO-SPOŁECZNA POLSKI

I

W OSTATNIM numerze "Myśli Polskiej" w artykule p.t. "Wady strukturalne naszego ustroju społeczno-gospodarczego," staraliśmy się wykazać, że istotną przyczyną polskiej biedy był nadmiar ludności w rolnictwie, która w naszym klimacie i przy naszej glebie nie może być podstawą dobrobytu narodu gęsto na ziemi osiadłego i szybko się rozrzedzającego. W ciągu ostatniego dwudziestolecia widzieliśmy wiele wysiłków usiłujących podnieść nasze życie gospodarcze na wyższy poziom. Były to jednak akcje przeważnie dorywcze, nie mające jasnego planu ani wyraźnej wizji przyszłości, poza tym zaś raczej nieśmiałe i niesięgające do źródeł zła.

Na początek jedno wyjaśnienie. Jesteśmy narodowcami i dążeniem naszym jest budowanie Wielkiej Polski. Rozumiemy, że wielkość narodu polega przede wszystkim na sile jego ducha; kto dotychczas mógł w to wątpić, tego obecna wojna i zachowanie się w niej różnych narodów chyba o prawdzie tej przekonało. Wierzmy też, że łatwość osiągania bogactw materialnych może naród, jego energię i prężność rozłożyć. Ale nie mniej jesteśmy przekonani, że dopiero bytowanie na pewnym poziomie, osiągane wyteżoną pracą mózgu i rąk, jest podstawą, na której można budować potęgę państwa, zwłaszcza w tak niebezpiecznych warunkach, jak te, w których Opatrzność kazała żyć narodowi polskiemu. Odpowiednie też ukształtowanie struktury społecznej narodu sprzyja niewątpliwie rozwojowi jego sił duchowych, nie pozwalając na marnowanie wielu cennych jednostek, a nawet całych warstw.

Po tych uwagach wstępnych przystępujemy do właściwego tematu. Zamiast dotychczasowej przestarzałej i chorej struktury gospodarczej i społecznej chcemy dać Polsce nową, zdrową i bardziej harmonijną. Chodzi tylko o zdanie sobie sprawy, jaki podział ludności na trzy główne zajęcia (rolnictwo, przemysł, handel i transport oraz inne) należy uważać za zdrowy i harmonijny. Naszym zdaniem będzie to taki stan, w którym żadna z tych gałęzi nie będzie miała przewagi nad drugą, a więc gdzie w każdej z nich będzie pracowała trzecia część ludności. Pogląd ten nie jest oczywiście żadną niewzruszalną doktryną — wskazuje on tylko kierunek, w którym rozwój powinien się odbywać. I z góry należy przed jednym przestrzec. Stosunek wyrażony wyżej jest zarazem punktem docelowym, którego przekroczenia należy unikać. Dalsza industrializacja kosztem wyciągania coraz nowych mas ze wsi do fabryk prowadziłaby do stworzenia innego zła, byłaby ponownym zwichnięciem równowagi. Po tej drodze poszła Anglia, po niej kroczą szybko Niemcy. Olbrzymie masy proletariatu przemysłowego, pozbawionego najczęściej wszelkiej własności, stłoczone w ogromnych miastach i odcięte od jakiegokolwiek związku z ziemią, są poważnym niebezpieczeństwem społecznym. Pomijamy już takie strony ujemne, jak niska w miastach rozrodność, szczególną wrażliwość takiego ustroju na zmiany koniunktury gospodarczej itp.

Układ zawodowy podobny do wyżej omawianego posiadają w Europie Francja (35,7% rolnictwo, 35,1% przemysł), Czechosłowacja (38,3% rolnictwo, 37,4% przemysł) i Szwecja (36% rolnictwo, 32,3% przemysł), z krajów zaś zaoceanicznych Kanada (35% rolnictwo, 31,2% przemysł). Tym, którzyby uważali postulat nasz za przesadną chęć "przeindustrializowania," trzeba przypomnieć, że odpowiada on zaledwie poziomowi Niemiec z roku 1895 — rolnictwo 36,4%, przemysł 38,8%.

Czy postawiony program jest w warunkach polskich osiągalny i ile lat upłynie, nim zostanie on wprowadzony w życie? Przede wszystkim trzeba pamiętać, że ewolucja nasza w okresie między obu wojnami szła już w tym właśnie kierunku: od r. 1921 do 1931 odsetek ludności utrzymującej się z przemysłu wzrósł z 15,4% do 19,4%; ponieważ zaś tempo uprzemysławiania w latach późniejszych było raczej szybsze, można

przypuszczać, że w chwili wybuchu wojny około 23% ludność żyło z zajęć przemysłowych. Widzimy zatem, że wzrost o dalsze 10% nie będzie absolutnie niczym fantastycznym. Chodzi tylko o to, żeby dokonać tego jak najprędzej; sądzymy że okres 15 lat wystarczy na zamierzoną przebudowę, jeśli tylko nasza polityka gospodarcza będzie celowa i wytrwała.

Skonstatowaliśmy, że nadwyżka ludności w rolnictwie powiększała się stale przez to, że znaczna część przyrostu naturalnego pozostawała na wsi. Cyfrowo można szacować tę ilość w okresie 1921 do 1931 na 265 tysięcy ludzi rocznie, co odpowiada około 2/3 tego przyrostu. Pierwszym postulatem powinno zatem być, **by cały przyrost naturalny szedł do przemysłu** i w ten sposób nie pogarszał struktury wsi. Gdyby przyjąć, że wojna nie naruszy naszego układu zawodowego w sposób zasadniczy, oznaczałoby to, że w dziesięć lat po jej zakończeniu (licząc przeciętny przyrost roczny na 400 tys. osób) odsetek ludności żyjącej z przemysłu wzrósłby do 32% i w ten sposób wyrażona wyżej zasada w zakresie przemysłu stałaby się rzeczywistością. Rozważania te są naturalnie czysto teoretyczne i mają jedynie na celu wykazać, że postawiony program jest realny. W rzeczywistości znaczna część ludności wiejskiej pójdzie nie do przemysłu, lecz częściowo do handlu, częściowo do komunikacji, częściowo do zawodów wolnych i urzędniczych; w każdym jednak razie odsetek ludności rolniczej spadnie skutkiem tego zabiegu z 60,6% (1931 rok) do niecałych 50%. Pamiętajmy jednak, że skierowanie przyrostu naturalnego wsi do miast zapobiegnie tylko dalszemu biednieniu wsi, lecz samo w sobie nie uzdrowi w niczym jej struktury, gdyż absolutna liczba ludności wiejskiej pozostanie ta sama. Dopiero efektywny spadek jej o kilka milionów sprowadziłby stopień jej zagęszczenia do poziomu środkowo-europejskiego. Wiąże się to już bezpośrednio z przebudową społeczną wsi polskiej, o czym będzie mowa niżej.

Znaczna rozbudowa przemysłu w Polsce jest konieczna z jeszcze jednego względu — warunkuje ona obronność kraju. Wojna obecna wykazała, że zarówno atak jak i obrona wojskowa polegają na masowym użyciu broni maszynowej, której szybkie wyprodukowanie możliwe jest tylko w państwach posiadających duży potencjał przemysłowy. Opieranie się na broni importowanej jest zawodne, gdyż w naszej sytuacji gospodarczej możemy być w każdej chwili odcięci od dowozu, a nagromadzone zapasy szybko by się wyczerpały. Zresztą obsługa tej broni wymaga znacznej liczby ludzi obeznanych z techniką, która istnieć może tylko w kraju uprzemysłowionym.

Pesymiści wysuną zarzut, że Polska nie ma dość bogactw naturalnych, by mieć "naturalne" podstawy do rozwoju przemysłu. Jesliby przemysł ten miał być oparty na autarkii, to oczywiście. Ze wszystkich jednak państw świata jedynie trzy wielkie imperia są jako tako samowystarczalne: Rosja (prawie całkowicie, ale kosztem niesłuchanie niskiego poziomu życia ludności), Stany Zjednoczone i Imperium Brytyjskie. Sytuacja wysoko uprzemysłowionych Niemiec pod wielu względami nie jest lepsza od polskiej, Japonia i Włochy rozwinęły swój przemysł prawie całkowicie bez krajowej podstawy surowcowej. W wielkim skrócie można powiedzieć, że spośród 9 głównych surowców przemysłowych (t.j. takich, których produkcja światowa przekraczała wartości 1 miliard franków złotych) nie posiadamy tylko dwóch, t.j. bawełny i kauczuku, a dwóch dalszych mamy za mało (wełna i miedź).

W ekonomii jednak coraz bardziej przeważa zdanie, że najważniejszym "naturalnym" czynnikiem przemysłu jest człowiek i jego zdolności. O ile dawniej ludzie emigrowali do krajów posiadających większe bogactwa naturalne, o tyle dziś należy raczej dowozić surowce do krajów posiadających gęste zaludnienie. Po zdetronizowaniu złota jako motoru gospodarczego przychodzi kolej na właściwe odmierzenie roli dwóch pozostałych czynników: ziemi z jej skarbami i pracy ludzkiej,

przyczyn coraz bardziej wysuwa się na pierwszy plan znaczenie człowieka.

Polacy wykazują duże wrodzone zdolności techniczne. Świadczy o tym przodujące stanowisko zajęte przez polskich inżynierów w przemyśle carskiej Rosji, znakomita opinia, jaką cieszy się polska technika w Wielkiej Brytanii, oraz doświadczenie z polskimi robotnikami w największym przemyśle świata, w Stanach Zjednoczonych. Opowiadali mi inżynierowie i dyrektorzy fabryk, że w Polsce wieśniak, który jako jedynego narzędzia używał kosy i łopaty, już po paru tygodniach stawał się pojętnym robotnikiem hutniczym. Uprzemysłowienie kraju wymagać będzie, rzecz jasna, wielu znacznie bardziej wykwalifikowanych pracowników niż hutnicy. To też nie można dość silnie podkreślać roli, jaka przypadnie szkolnictwu zawodowemu, bez którego najpiękniejszy program nie da się wprowadzić w życie.

Teraz parę słów o kierunkach rozbudowy przemysłu w Polsce. Nie można w krótkim artykule omawiać szeroko, które gałęzie należałoby szczególnie rozwijać, wymaga to zresztą poważnych studiów ze strony różnych fachowców. Chcielibyśmy jednak wskazać na parę wytycznych, które należałoby się kierować przy opracowywaniu konkretnych planów.

1. Była już mowa o znaczeniu uprzemysłowienia dla obronności państwa. Trzeba jeszcze dodać, że nie jest z tego punktu widzenia obojętnym, jakie gałęzie przemysłu będzie się rozbudowywać. Jeśliby chciało się sądzić o przyszłej wojnie na podstawie toczącej się obecnie (jest to wprawdzie zawsze ryzykowne!), to trzeba sobie powiedzieć, że obecną broń mechaniczną, czy jest nią samolot, czy czołg, czy szybkostrzelne działo, wyrabiać można tylko w fabrykach metalowoprzetwórczych. Dostosowanie do tego celu np. fabryki włókienniczej wymagałoby zupełnie nowych instalacji, w skutek czego opłacałoby się raczej zbudowanie zupełnie nowej. Poza rozbudową przemysłu wytwarzającego i przerabiającego metale, bezpieczeństwo kraju wymaga jeszcze szeroko zakrojonego przemysłu chemicznego, gdyż w tej właśnie dziedzinie można spodziewać się nowych wynalazków wojennych.

2. Z punktu widzenia ekonomicznego należy dążyć do rozwoju takich gałęzi, które umożliwią pełne wykorzystanie krajowych surowców. Na pierwszym miejscu należy postawić tu węgiel, nie tylko jako źródło energetyczne, lecz również jako surowiec wyjściowy dla przeróbki chemicznej. Pod względem bogactwa złoży węglowych stoi Polska na trzecim miejscu w Europie, zapasy nasze powiększą się jeszcze z chwilą przyłączenia Śląska Opolskiego. Wiadomości nadchodzące spod okupacji niemieckiej wskazują, że wydobywanie wzmogło się tam znacznie i w całym zagłębiu śląsko-dąbrowsko-krakowskim dochodzi do 100 milionów ton rocznie. Otóż dążeniem naszym powinno być co najmniej utrzymanie tego stanu, co da się przeprowadzić tylko przez użycie części produkcji do wyrobu syntetycznej benzyny oraz szeregu innych wytworów jak masy plastyczne, sztuczny kauczuk itp. Tu trzeba zaznaczyć, że posiadamy również obfitość drugiego wyjściowego surowca dla przemysłu chemicznego, którym jest sól. Z innych surowców, które powinny być w całości wyzyskane, należy wymienić rudy żelazne, cynkowe i ołowiane, ropę naftową, sole potasowe. Bogactwa kopalniane są u nas jeszcze mało zbadane, to też poszukiwania geologiczne powinny być prowadzone po wojnie na znacznie większą skalę. — O konieczności większego korzystania w przemyśle z rodzimych surowców roślinnych będzie mowa w części traktującej o przyszłości rolnictwa.

3. Wszelka rozbudowa przemysłu wymaga oczywiście znacznego nakładu kapitału w postaci budynków, maszyn i urządzeń. Otóż są gałęzie przemysłu, w których kapitału tego przypada na jednego zatrudnionego robotnika mało — są to przemysły o prostych metodach produkcji; istnieją jednak inne rodzaje wytwórczości wymagające bardzo skomplikowanych urządzeń, wskutek czego nakład kapitału przypadający na każdego robotnika musi być o wiele większy. Jako dwa krańcowe przykłady można wymienić tartaki, w których inwestycje na robotnika wynosiły przeciętnie około 3.000 zł, oraz niektóre fabryki chemiczne, gdzie dochodziły one do 60.000 zł. Poza tym w obrębie jednej gałęzi można tę samą rzecz wytworzyć bądź przy większym nakładzie kapitału i mniejszej ilości robotników, bądź przy mniejszym jego nakładzie i zastosowaniu w szerszym zakresie pracy ludzkiej.

W myśl hasła zatrudnienia jaknajwiększej ilości ludzi należy popierać w pierwszym rzędzie takie gałęzie, które nie wymagają szczególnie kosztownych inwestycji w stosunku do zatrudnionych robotników. Również nie konieczne trzeba, w początkowej zwłaszcza fazie rozbudowy, dążyć ze wszelką ceną do najsprawniejszych technicznie metod produkcji, jeśli by odnośne instalacje miały być bardzo kosztowne i powodować jednocześnie znaczne zmniejszenie liczby robotników. Z ogólnym rozwojem gospodarczym następować będzie stopniowo dalsza mechanizacja, nie powinna ona jednak tego rozwoju wyprzedzać.

Powyższe zasady mogą być czasami ze sobą sprzeczne i rzeczą właściwej polityki gospodarczej będzie stosować je umiejętnie i rozstrzygać w każdym indywidualnym wypadku, które z nich należy dać pierwszeństwo.

Uprzemysłowienie kraju pociągnie za sobą doniosłe skutki społeczne. Jedne z nich będą zbawienne, jak przede wszystkim "odgęszczenie" ludności wiejskiej, co da podstawę do uzdrowienia struktury agrarnej; kwestia ta zostanie omówiona osobno. Inne mogą zaważyć ujemnie na rozwoju Narodu i dlatego trzeba im z góry zapobiegać. Należy unikać gromadzenia zbyt wielkich rzesz robotniczych w nielicznych i słoczonych ośrodkach przemysłowych. Lepiej będzie dążyć do pewnego rozproszenia przemysłu w terenie stwarzając nowe ośrodki w rejonach dotychczas zaniedbanych; wymaga tego również wzgląd na bezpieczeństwo zewnętrzne. Ponieważ sam przemysł ma raczej tendencję do koncentrowania się w dawnych środowiskach ze względu na przyzwyczajenie oraz na wygody i ułatwienia, zwłaszcza w dziedzinie komunikacji i możliwości znalezienia wykwalifikowanych robotników, państwo musi temu planowo przeciwdziałać, stwarzając odpowiednie warunki na nowych terenach.

Gdzie tylko się da, należy opierać rozwój przemysłu na zakładach raczej średnich i drobnych. W fabrykach tego typu następuje większe zbliżenie między robotnikiem a właścicielem, możność awansu społecznego jest dla pracownika fizycznego o wiele większa. Zakłady średnie i drobne mogą doskonale prosperować np. w przemyśle włókienniczym, lub w przetwórstwie metali. Wprowadzenie **motoru elektrycznego** dokonało ogromnego przewrotu i umożliwiło zmechanizowaną tanią produkcję w zupełnie małych zespołach. Nawet budowę samolotów czy samochodów można zorganizować w ten sposób, by właściwa fabryka była głównie montownią, poszczególne zaś części były wyrabiane u tzw. poddostawców składających się z dziesiątków drobnych firm. Są jednak gałęzie przemysłu, gdzie sama technika nakazuje tworzenie zakładów wielkich, np. w górnictwie czy hutnictwie. Tutaj zapobieganie ujemnym skutkom proletaryzacji społeczeństwa powinno iść w kierunku umożliwienia robotnikom posiadania własnych domków lub przynajmniej ogródków działkowych. Rozważyć też trzeba kwestię udziału robotników w własności zakładów przemysłowych, choć jest to rzecz trudna i nasuwająca szereg wątpliwości również z punktu widzenia samych pracowników.

Na zakończenie chcielibyśmy wspomnieć o tzw. przemyśle ludowym i rzemieśle. Oba te typy wytwórczości zasługują na pełne uwzględnienie we wszelkich planach gospodarczych odnoszących się do przyszłości; odnoszą się do nich również wspomniane wyżej uwagi o zmotoryzowaniu produkcji. Ponadto wchodzi tu w grę takie czynniki, jak tradycje regionalne (zwłaszcza przy zdobnictwie ludowym), smak i poczucie artystyczne, znajomość indywidualnego gustu klienta itp. Trzeba sobie w każdym razie powiedzieć, że **postęp gospodarczy nie polega wcale na stwarzaniu coraz większych kolosów fabrycznych i likwidacji zakładów drobnych, lecz przeciwnie wyznacza każdemu z tych typów właściwe miejsce w gospodarstwie narodowym.**

Przeprowadzenie uprzemysłowienia jest dopiero połową zagadnienia. Otworzy ono z jednej strony ogromne możliwości przed rolnictwem, które odzyska swobodę oddechu, oraz spowoduje pewne przemiany w handlu, z drugiej zaś strony wymagać będzie znacznych inwestycji podstawowych (komunikację, elektryfikację). Problemy te będą poruszone w drugiej części niniejszego artykułu, który ukaże się w następnym numerze "Myśli Polskiej."

Witold Łęgowski.

Urban Krzyżanowski

SĄDY MORSKIE

NASZA Emigracja w Wielkiej Brytanji stanowi zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym zaledwie niewielki ułamek polskości. Nasze siły zbrojne odbudowane tu są zaledwie w niewielkim procencie. Nasza nauka, sztuka, technika czy myśl polityczna są znikomymi odpryskami polskiej twórczości którym udało się "w ów czas morowy spokojnie unieść głowy."

Wyjątkowe stanowisko wśród naszej Emigracji zajmuje cały nasz dorobek morski. Stało się, iż nasza Marynarka Wojenna przybyła do Wielkiej Brytanji w znacznej sile, — nasza Marynarka Handlowa przybyła tu niemal w całości, a wraz z nimi, przybyła do Wielkiej Brytanji znaczna część ludzi którzy w tej lub innej formie stanowili nasz morski aparat administracyjny i handlowy.

Mamy więc do zanotowania fakt wyjątkowy w nienapisanej jeszcze historii naszej Emigracji. Pewien dział naszej narodowej pracy przybył tu niemal w komplecie. Przybyli tu również jego narzędzia pracy — statki. Przybyli tu wreszcie i ludzie tego działu pracy, przybyli do Londynu, który jest nie tylko centrem politycznym naszego kontynentu, ale jest i będzie dalej ośrodkiem dyspozycyjnym spraw morskich.

Powstała więc psychologicznie i rzeczowo wyjątkowa sytuacja, w której nasze sprawy morskie powinny awansować i zająć poczesne stanowisko w hierarchji naszych zagadnień państwowych.

Nasz postępek i osiągnięcia w tej dziedzinie określone kiedyś będą jako zdumiewające. W końcu XIX i w początku XX wieku, nasi emigranci przyczyniali się jeszcze do wzrostu potęgi Hapagu i Norddeutscher Lloyd, a w latach trzydziestych przeszło 10% obrotów drogą morską szło już pod naszą banderą, i przeszło trzy czwarte naszego wwozu i wywozu przechodziło przez porty naszego obszaru celnego.

Osiągnięcie znaczne zarówno w cyfrach względnych jak i bezwzględnych, ale przede wszystkim kryjące w sobie znaczny postęp materialny, oraz zrozumienie konieczności oparcia się o Bałtyk i istotnej, gospodarczej uprawy morza.

Nasz pobyt i nasza praca w Wielkiej Brytanji zajmą kiedyś proporcjonalnie większy udział w historii naszej pracy na morzu, — niż nawet powiedzmy — obecny udział naszych sił zbrojnych w toczącej się wojnie. Gros naszej Armji jest w niemieckich obozach, lub pod specjalną opieką wujaszka Stalina. A nasz morski dorobek jest tutaj niemal w całości, ma nieograniczone możliwości oddziaływania na opinie swoją i cudzą, ma poza sobą niezrównany argument dobrej i karnej służby, ma wreszcie — nawet w czasie wojny nieporównaną możliwość oceniania własnych błędów, robienia obserwacji i zdobywania doświadczeń na najbliższą przyszłość powojenną.

Ale z chwilą gdy umilkły karabiny Westerplatte i działa Helu, odpowiadają im tylko od czasu do czasu echa obrazowych czynów obu morskich bander — i na tem koniec.

Z trudem zainicjowane piśmiennictwo własne, nie może na Emigracji nawiązać nawet kontaktu z przeszłością. Mimo przybycia do Wielkiej Brytanji poważnej grupy ludzi związanych z morzem i wybrzeżem, twórczość fachowa czy pisarska tej grupy sprowadza się do zera. Ustała nawet niezbędna propaganda — czy też popularyzacja problemów.

Jednym słowem, najaktywniejszy, morski odcinek narodowej pracy, cudowne dziecko ostatniego piętnastolecia i noworodek rokujący swą krzepkością jaknajlepsze nadzieje, — z chwilą przyjazdu nad Tamizę zasuflakował się fundamentalnie w biurokratycznych kartotekach i wyraźnie wędnieje na urzędniczym garnuszku.

Wystarczy się przyjrzeć temu życiu publicznemu, jakie wytworzyła nasza Emigracja, aby stwierdzić zupełne pominięcie i zapomnienie naszych problemów morskich w naszej opinii publicznej. Można by snuć jeszcze dalej uwagi o oderwaniu się naszej Emigracji od istotnych problemów naszego

narodowego bytu. Przecież z naszą polityką morską wiąże się problem Niemna, Kłajpedy i współpracy z Litwą, niedawno poruszony w "Myśli Polskiej," problemy Prus Wschodnich, zagadnienia naszej powojennej ekspansji morskiej, przygotowania ludzi dla okresu powojennego i dziesiątki innych, podstawowych dla nas zagadnień.

Wszystko są to problemy polityczno-gospodarcze związane z naszym przyszłym oparciem się o Bałtyk, każdy z nich stanowi zagadnienie warte nie tylko upartego popularyzowania wśród swoich i obcych, ale przede wszystkim szeregu prac, studjów i badań.

Przegląd emigracyjnej prasy polskiej dowodzi, iż nasza morska emigracja nie dorasta do zadań jakie narzuciła jej wojna i dzisiejsze warunki.

O podstawowych zagadnieniach morskich jest zatem cicho w naszym życiu publicznym. Ale oprócz podstawowych zagadnień naszego narodowego bytu, są jeszcze i mniejsze zagadnienia dnia codziennego. Zpośród tych zagadnień, jedynie Sądy Morskie zdobyły sobie prasę, i nawet stały się czemś w rodzaju prasowej primadonny. Szczegół charakterystyczny: naszą Emigrację nie stać na poruszenie zagadnień podstawowych, ale trzeciorzędne drobiazgi dnia codziennego łatwo znajdują sposobność zdobywania rozgłosu.

Należy się tu trochę informacji o genezie aljanckich Sądów Morskich w Wielkiej Brytanji. Marynarki Handlowe państw aljanckich, po przyjeździe do Wielkiej Brytanji znalazły się po za zasięgiem jakiegokolwiek sądownictwa, z wyjątkiem doraźnego, administracyjnego orzecznictwa konsulatów, nb. orzecznictwa pozbawionego w danej sytuacji jakiegokolwiek egzekutywy i możliwości apelacji. Kompetencje Sądów Brytyjskich, w żadnym wypadku nie sięgały poza terytorjalne wody brytyjskie. Np. w wypadku morderstwa zdarzonego poza wodami terytorjalnymi Wielkiej Brytanji, władze brytyjskie mogły jedynie przewencyjnie przetrzymać winnego czy podejrzanego, i w porozumieniu z właściwym konsulem — odesłać go do kraju — z którym nie ma komunikacji w obecnej sytuacji wojennej.

Ale oprócz rzadko zdarzających się przestępstw, dzień powszedni domagał się sądenia zwykłych przewinień i "normalnych" wykroczeń z zakresu dyscypliny. Są to wszystko rzeczy zrozumiałe nie tylko dla prawników, ale dla wszystkich ludzi mających elementarne poczucie prawa.

Tego rodzaju sytuacja długo trwać nie mogła, gdyż utrzymywanie **bałaganu** na statkach zmniejszało efektywność usług oddawanych przez Marynarkę Handlową, i było sprzeczne z najwyższymi celami toczącej się wojny, która jak wykazuje praktyka, jest przede wszystkim wojną możliwości produkcyjnych i transportowych.

Dlatego też, już pod koniec 1940 roku zainteresowane Rządy aljanckie i Rząd W. Brytanji rozpoczęły prace nad rozwiązaniem tego pilnego i tak ważnego dla toczącej się wojny zagadnienia. W rezultacie, w maju 1941 r. Izba Gmin odbyła kilkudniową, arcyciekawą debatę nad późniejszym Allied Powers (Maritime Courts) Bill. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że choć nasza Marynarka Handlowa jest najmniejszą ze wszystkich aljanckich Marynarek, wielce czcigodni członkowie Izby Gmin raz po raz wracali w dyskusjach do naszej właśnie bandery. Izba Gmin odniosła się z niechęcią do obcych sądów na terenie W. Brytanji, widząc w nich po raz pierwszy od czasów średniowiecznych sądów kościelnych wyłom w jednolitej jurysdykcji sądów brytyjskich. Wyrażano również obawy, że Sądy Morskie mogą stanowić precedens dla dalszego powiększania eksterytorjalności czy też immunitetów obcych władz i instytucji. Bill jednak przeszedł, gdyż Izba uznała go za niewygodną ale niezbędną życiowo konieczność.

Cały szereg obcych Sądów Morskich na terenie W. Brytanji już rokuje, i wszyscy uważają je nie tylko za konieczny czynnik w życiu zbiorowym, ale przede wszystkim za ważne politycznie

podkreślenie nieprzerwanej suwerenności państwowej, wyrażającej się właśnie w sprawowaniu sądownictwa w stosunku do obywateli pływających pod własną banderą.

Dojrzałe Marynarki, i dojrzałe organizacje uważają za konieczność, i za zaszczyt nie miały posiadać swe własne Sądy Morskie, i nie rezygnować z wymiaru sprawiedliwości we własnym zakresie.

Częściowy wyjątek stanowi tu Polska.

"Robotnik" organ P.P.S. w swym pierwszomajowym numerze, poświęcił aż jedną szóstą numeru na walkę z Sądami Morskimi. Zjawisko warte omówienia, tem bardziej — że wyskok "Robotnika" nie wywołał żadnego oddźwięku, ze względu na egzotyczność tematu.

Zgódźmy się bez dyskusji, że dzięki walorom moralnym naszych załóg, Polskie Sądy Morskie orzekają raczej w sprawach drobnych wykroczeń. Ale byłoby błędem chowanie głowy w piasek. Skoro prasa angielska wyraźnie pisze o robotnikach uczęszczających na wyścigi piesków i opuszczających fabryki, skoro pisze się o karach na pracodawców i pracowników, byłoby pruderją, i to pruderją zbędną — ukrywanie analogicznych zjawisk na naszych statkach. To są rzeczy ludzkie, nie ma co się ich wstydzić, tembardziej że nasza Marynarka oglądana z sali sądowej, odbija korzystnie od innych Marynarek, mimo — że my najdłużej wojujemy na morzu i na lądzie. Ale bywa — że statek czeka na załogę i opuszcza konwój, zdarzają się wypadki — że załoga po przyjeździe do portu wynosi się na ląd i zostawia statek na Boskiej opiece. Znałe są fakty, że kierownictwo statku nie stoi na wysokości zadania. Wychodzą na jaw poważne niedociągnięcia Armatorów. Sąd to wszystko beznamietnie bada, widzi braki ustawodawstwa, widzi przemęczenie ludzi, widzi co trzeba naprawić.

W tych warunkach, wymiar sprawiedliwości, — oczywiście zawsze z odpowiednią, wojenną poprawką — jest rzeczą nieodzowną.

Niemniej ważnym jest również fakt wciągnięcia Ministerstwa Sprawiedliwości w krąg zainteresowań sprawami morskimi. Należy przypuszczać, że po wojnie — obecni sędziowie i prokurator Sądów Morskich otrzymają przydziały nie w Druji czy w Drohobyczu, a w Gdyni lub w Królewcu. Dzięki tym kilku prawnikom którzy zamiast "planować" w jakimś biurze — sądzą drobne na pozór sprawy — możemy mieć po wojnie lepszą administrację morską na wybrzeżu. Byłoby pożądanem, aby wszyscy sędziowie i prokurator odbyli choć miesięczne pływanie. To same tyczy się i obrońców.

Więc co znaczy, i jaki jest cel antysądowej kampanji "Robotnika"? Dlaczego lekkomyślnie podaje się w wątpliwość istnienia Sądów? — Może obsada Sądów mogła być oszczędniejsza? — "Robotnik" zrobił sobie z Sądów Morskich jakąś Gorgonową, są polemiki, esencjonalne tytuły z wieloma kropkami. Pisz się np. "Takimi sprawami zajmuje się Sąd Morski aż w dwóch instancjach," ale nie pisze się kto złożył apelację do drugiej instancji. Marynarzom wprost podaje się do ręki gotowe, antysądowe argumenty. Robotę się robi gorzej niż lekkomyślnie. Podważając autorytet własnych, polskich Sądów, narusza się poczucie prawa wśród marynarzy, skąd już prosta droga do anarchizowania stosunków na statkach.

Taką robotę robi się w trzecim roku wojny, przebywając na emigracji. Wszystko razem, jest to również smutny przyczynek do naszej "narodowej jedności." Przecież P.P.S. jest główną podporą Rządu, który opracował i wydał Dekret P.R. z dnia 30 września 1941 r. i ta sama P.P.S. walczy z jedynym w tej chwili Sądem Rzeczypospolitej. Byłoby ciekawem i celowem uzyskać jakieś publiczne oświadczenie P.P.S. w tej sprawie.

Emigracja potrafi tylko wyciągać i rozdymać drobnotki, siać nienawiść klasową wśród jednych nieemigrantów na emigracji, wszystko w ramach "narodowej jedności."

Urban Krzyżanowski.

STAN WOJENNY A CENZURA

Dokończenie ze str. 418.

polskie władze administracyjne, uprawnione są, nietylko do stosowania przepisów o cenzurze prewencyjnej, lecz wogóle do wydawania wszystkich zarządzeń, wypływających z ustawy o stanie wojennym. Wynikałoby z tego, że nasze ministerstwo spraw wewnętrznych może np. wydać polecenie dokonania u kogoś z obywateli polskich rewizji lub wręcz internować jego do końca wojny.

Jak tego rodzaju zarządzenie mogłoby być wykonane i jak by je przyjęły władze brytyjskie? Sądzę, że raczej niechętnie. A przecież zgodnie z założeniem p. St. St., władze polskie mają tyleż uprawnień do stosowania cenzury prewencyjnej, co i do internowania swych obywateli. Obydwa te zarządzenia byłyby bowiem oparte na tym samym przepisie prawnym ustawy o stanie wojennym.

Pozatem, jeżeli byśmy, zgodnie z omawianą tezą p. St. St., przyjęli, że pomimo wszystko, przepisy o stanie wojennym dotyczą Anglii, to znowuż zachodzi pytanie i jakich krajów jeszcze. Czy na przykład prasa polska na terenie Stanów Zjednoczonych podlega cenzurze polskich władz i jakich?

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że na terenie Wielkiej Brytanji, dotychczas nie została wprowadzona cenzura prasowa. Oczywiście ministerstwo informacji ma swoje sposoby wpływania na prasę. Są jednak wynikiem ścisłej i życzliwej współpracy. W każdym razie na zewnątrz, czy to na łamach pism, czy też w Izbach stale się podkreśla tę wolność prasy, będącą zresztą podstawą ustroju prawdziwie demokratycznego. Wprowadzenie więc cenzury przez Rząd polski byłoby niezgodne z obowiązującymi angielskimi przepisami prawnymi, a nawet łamałoby je. Stanowiłoby zatem przestępstwo z punktu widzenia prawa angielskiego, gdyż naruszałoby swobody, gwarantowane nie-pisaną Konstytucją Brytyjską, zarówno swym obywatelom, jak i obywatelom państw innych, nad którymi prawo brytyjskie objęło pieczę, z chwilą zstąpienia ich na ziemię angielską.

Przykładem, jak dalece Rząd brytyjski jest czuły, na punkcie nie uszczuplania praw obywateli państw aljanckich przez ich własne rządy, posłużyć może powszechnie znany fakt, że do dziś dnia władze brytyjskie nie wyraziły zgody na przymusowe powoływanie na terenie W. Brytanji przez rządy sprzymierzone swych obywateli do armji. Nad kwestją tą obradował Parlament

w jesieni 1940 roku. Wysunięto wówczas szereg zastrzeżeń natury międzynarodowej, a ktoś z przeciwników ustawy, wyraził się nawet, że nie mogą obywatele tych państw być w gorszej sytuacji od innych nieobywateli brytyjskich dlatego tylko, że przypadkowo rządy ich, znalazły się w Londynie. Zaznaczyć dla ścisłości należy, że w toku obrad w szczególności wiele miejsca poświęcono ewentualnemu wcieleniu do wojska obywateli polskich.

W lipcu roku ubiegłego wicepremier p. Attlee ponownie zapowiedział w Parlamencie rychłe wydanie omawianej ustawy lecz chociaż rok już prawie upłynął od tego czasu, ustawa się nie ukazała.

Nawiasem dodam, że osobiście jestem za jaknajszyszym uregulowaniem tej sprawy i sugerowałbym czynnikom miarodajnym, możliwe jej przyspieszenie. Nie widać bowiem żadnych racji, dla których pewna część naszych obywateli w Anglii mogłaby bezkarnie unikać służby wojskowej, korzystając pozbawionym w całej rozciągłości z praw i przywilejów, jakie paszport polski daje.

Oczywiście Parlament Brytyjski mógłby upoważnić rządy aljanckie do stosowania cenzury wobec prasy, wydawanej przez ich obywateli, a nawet do sądzenia tych spraw, tak, jak zezwolił na utworzenie sądów wojennych dla sądzenia przestępstw, popełnianych przez żołnierzy czynnej służby oraz sądów morskich.

Jednak, już w czasie debat nad tymi ustawami podnoszono i podkreślano ich wyjątkowy charakter, zaznaczając, że wprowadzając je Naród Brytyjski, czyni wyłom w swym Prawie i Tradycji. Wyłom, podyktowany koniecznościami wojennymi. A pozbawienie nie należy zapominać, że zarówno sądy wojenne, jak i morskie są instytucjami istniejącymi w społeczeństwie brytyjskim.

Widzimy więc z powyższego, że żadne przepisy nie upoważniają rządu do wprowadzenia cenzury prasy. Gwałciłaby ona zarówno prawo międzynarodowe, uszczuplając suwerenność prawną naszych gościnnych gospodarzy, jak i obowiązujące prawo angielskie, zapewniające swobodę słowa na terenie Wielkiej Brytanji. Nie byłaby też oparta na żadnym polskim przepisie prawnym, gdyż ustawodawstwo polskie nie przewiduje stosowania cenzury na terytorjum obcych państw.

Wynika z tego, że omawiane zagadnienie może być rozwiązane jedynie w drodze życzliwej współpracy obu zainteresowanych czynników: prasy i ministerstwa Informacji. St. W.

HORYZONT WOJENNY

NA PRZEŁOMIE

WZMIANKOWANA w ostatnim przeglądzie wydarzeń wojennych ofensywa niemiecka na półwyspie Kerczu dopięła celu. Resztki rozbitych sowieckich wojsk zostały wyewakuowane na ląd Kaukaski.

Ofensywa sowiecka w rejonie Charkowa jest chwilowo zakończona. O ile z mglistych komunikatów frontowych obu stron można się zorientować, nie dała ona spodziewanego wyniku. Przy takim rozumowaniu zakładam, że mamy do czynienia z pełną ofensywą taką, jaką zapowiadały komunikaty dowództwa sowieckiego, a nie z jej wstępnym tylko etapem. Ofensywa sowiecka dysponowała niewątpliwie momentem zaskoczenia, bo jeżeli liczone się z ofensywą wiosenną, to raczej rozpoczętą przez Hitlera, a nie na odwrót. W takich warunkach uzyskanie zdobyczy ofensywy sowieckiej nie znajdują usprawiedliwienia w brzmieniu rozkazu Timoszenki, wydanego przed jej rozpoczęciem, a zaczynającego się słowami: "Rozkazuje niniejszym rozpoczęcie decydującej ofensywy . . ."

Innym wytłumaczeniem może być przyjęcie, że Niemcy powstrzymali ofensywę sowiecką tylko dzięki poświęceniu dużych rezerw ludzkich i materiałowych. Która z dwóch alternatyw jest słuszna nie wiadomo, skoro obie strony przyjęły metodę niezgodnego z rzeczywistością, — nawet po zakończonych działaniach — podawania wyników walk. Najbliższy rozwój wydarzeń przyniesie wyjaśnienie tej wątpliwości.

Tymczasem mnożą się dowody, że ofensywa sowiecka zapoczątkowała sezon wojenny 1942. Konieczność jej zatrzymania sprowokowała Niemców do przeciwofensywy, która w rejonie Barwenkowej Isyumu toczy się od szeregu dni dając każdej ze stron sposobność do ogłaszania o dokonaniu okrażenia przeciwnika. Z tych toczących się bitew da się wysnuć jeden nieodparty wniosek. Front wschodni nie znieśli sytuacji wyczekiwania: rozpoczęta przez Sowietów ofensywa zmusiła Niemcy do działania nieprzewidzianego ich planem operacji wschodnich.

Długość frontu wschodniego nie pozwala żadnej ze stron na posiadanie równych sił na całej jego długości. Decydująca się na atak strona bardzo łatwo zdobędzie więc lokalną przewagę, która przeciwnika zmusza do improwizowania przeciwuderzeń przy pomocy pośpiesznie ściąganych posiłków, z czego wynika, że sytuacja uderzającego w każdym wypadku będzie korzystniejsza, a co za tym idzie, że należy się liczyć z działaniami ofensywnymi.

Jako przedmiot ataku ze strony niemieckiej przyjmuje się powszechnie w dalszym ciągu przede wszystkim Kaukaz. Zdobycie pól naftowych Kaukazu miałyby obezwładniający wpływ na armie sowieckie i to nie tyle przez udostępnienie obszarów naftowych Niemcom, — ponieważ niewątpliwie wszystkie instalacje przed wycofaniem wojsk sowieckich uległyby zniszczeniu — ile przez pozabawienie armii sowieckich możliwości korzystania z blisko znajdujących się materiałów pędnych.

Taka ofensywa niemiecka mogłaby się spotkać z "koncentrycznym" dążeniem wschodniego partnera Niemiec, który już wkroczył na terytorium Indji, zagraża zatoce Bengalskiej i zamierza w bieżącym roku usunąć Chiny jako przeciwnika stawiającego zorganizowany opór. Zachodzi tylko pytanie, czy da się osiągnąć moment zgrania w czasie zamierzonych akcji? Z drugiej strony Japonia mogłaby pójść z pomocą Niemcom, uderzając na Rosję. W interesie Japonii leży obecnie pozostawienie narazie Rosji niezaatakowanej, choć w dalszej przyszłości bezpieczeństwo wysp japońskich domagać się będzie usunięcia grożącego rozpoczęcia ataków przez amerykańskie czy angielskie bombowce ze wschodnich wybrzeży azjatyckiej Rosji. Obecnie więc interesy Rosji i Japonii pozostawienia się wzajemnie w spokoju są zgodne. Japonia walczyć równocześnie z Chinami, atakować Indje lub bronić Burmy, i zaczynać nową wojnę z Sowietami nie może bez przyjęcia zbyt wielkiego ryzyka.

Otwiera się natomiast obecnie dla Japonii możliwość złamania oporu Chin.

* * *

Po wyrzuceniu wojsk angielskich z Burmy, Japończycy zwiększają wydatnie nacisk na południowe Chiny, podejmując działania wojenne w Chekiang (prowincji na południe od Shanghai) i rzucając do walki nową armię w Fukien (prowincji na południe od Chekiang). Stworzenie tego nowego frontu po zajęciu Burmy, odcina Chiny od połączenia z Anglikami, pozbawiając je wydatniejszej pomocy materiałowej. Pozbawione dzięki wojnie sowiecko-niemieckiej pomocy Sowietów, Chiny znalazły się odosobnione same na sam z Japonią. Z niebezpieczeństwa wydają się zdawać sobie sprawę i Churchill i Roosevelt, którzy w przemówieniach znaleźli słowa otuchy dla Chiang Kai Cheka. Stało się to może i w poczuciu pewnej winy wobec Chin, których pięcioletniemu oporowi przeciw agresji Japonii najdotkliwszy cios zadali — alianci przez odsłonięcie południowej granicy Chin w konsekwencji poniesionych klęsk na Malajach, w Singapurze i Burmie. Widzą tę groźbę sami Chińczycy. W ostatnich dniach żona Chiang Kai Cheka gorzko żaliła się w jednym z nowojorskich czasopism na zawód jaki sprawiły armie państw zachodnich walczącym Chinom. "Naród chiński w ostatnich miesiącach jest świadkiem niebywałego dramatu, armie państw zachodnich odegrały smutną rolę przez niesłychane kapitulowanie przed przewagą Japonii" pisze pani Chiang, która dalej przypomina, jak w ubiegłym stuleciu w czasie t.zw. powstania Bokserów wojska francuskie i angielskie zdobyły forty Tientsin i Taku przez to, że nie atakowały portów z morza, lecz wylądowały na ich dalekiej flance. Stało się to ku wielkiej rozpaczy chińskiego dowódcy, który się żalił, że europejskie wojska obeszły regułę ataku frontowego, co on uważał za nie fair. Pani Chiang dodaje, że duch owego Chińczyka zapewne olimpijskim śmiechem powitał sposób, w jaki Anglicy stracili Hong-Kong, Singapur i t.d.

Wynika z tego, że Japonia nie może pominąć szans by złamać opór Chin zanim pomoc na razie przyrzeczona zacznie nadchodzić drogą powietrzną, nowo konstruowaną drogą lądową "gdzieś z Indji", czy wreszcie w postaci kontrofensywy, która ruszy z Indji w celu odbicia Burmy.

Japonia więc obecnie nie zechce się wikłać w tę nową wojnę z Sowietami, czym krzyżuje niewątpliwie plany Hitlera, który z ofensywą zwlekać zbyt długo nie może.

* * *

Już w ubiegłym roku niemieckie działania przeciw Sowietom uległy przerwie z powodu zbyt krótkiego czasu dla nich przewidzianego. Z tego powodu niewątpliwie Niemcy wykorzystają zechcą poważne siły stojące do dyspozycji w Afryce. Rozpoczęta obecnie, jak się wydaje, na poważną skalę zakrojona ofensywa Rommla ma za zadanie związać siły angielskie — jeżeli nie udałoby się ich pokonać — aby zabezpieczyć przygotowane działania zaczepne w kierunku na Kaukaz ze strony południa.

W tej sytuacji nie bez znaczenia pozostaje zachowanie się Turcji. Pewien sprawozdawca nazwał turecką neutralność "cudowną". Istotnie trudno wytłumaczyć możliwość zachowania neutralności przez Turcję położonej w punkcie dzisiaj strategicznie i geograficznie najistotniejszym. Turcja nie odrzuciła gwarancji angielskiej jak to zrobiła Jugosławia, a mimo to Niemcy zaatakowali Jugosławię, a "nie czują się zagrożeni" postawą Turcji, która co pewien czas odbiera dostawę sprzętu wojennego dostarczonego przez Anglię. Wyjaśnienia szukać należy w fakcie, że turecka armia, której bitność Niemcom jest dobrze znana, miała dość czasu do nowoczesnego uzbrojenia się, i że Turcja nie dwuznacznie daje wyraz stanowczej swej woli stawienia oporu atakowi skądkolwiek nastąpił. W rachubach niemieckich poważnie

bierze się pod uwagę pomyślnie ukończenia: ofensywy Kaukaskiej. Uważa się, że z chwilą gdy niemieckie wojska staną na Kaukazie i wzdłuż Suez, Turcja w interesie własnym nie zechce stawiać zbrojnego oporu i będzie tolerowała przejście wojsk niemieckich. Skoro jednak Turcja w najlepszych żyje stosunkach z Anglią, niema powodu liczyć się w obecnej chwili ze zmianą jej neutralności. O ile bowiem dostateczne są względy uniemożliwiające opowiedzenie się po stronie niemieckiej, o tyle nieufność turecka wobec zamierzeń polityki sowieckiej jest dość wyraźna.

* * *

W basenie Morza Śródziemnego wkrótce możemy mieć do czynienia z dalszym przegrupowaniem sił. Chodzi o żądania włoskie, wysunięte pod adresem Francji. Trudno zrozumieć motyw postępowania Mussoliniego. Nie można dojść do innego wniosku jak tylko, że wystąpienie Włoch jest wynikiem ukartowanej gry niemieckiej. Chcąc zmusić Francję do dalszych uległości, Niemcy pozwoliły Włochom na wysunięcie żądań, które przez blisko dwa lata pozostawały w zawieszeniu. Tak postępując osiągają i to, że naród Włoski, który jest już dostatecznie zmęczony wojną został zelektryzowany możliwością łatwego łupu.

W rzeczywistości Włochy wybrały psychologicznie nieodpowiedni moment. Nieszczęsny Laval, którego polityka oparta jest o kanon współpracy z Niemcami jest dostatecznie znienawidzony we Francji, aby sobie zdawać sprawę, że odstąpić żadnego z żądanych terytoriów nie może. Bo choć wydaje się to paradoksem, mimo prześladowania, krzywdy i poniżenia zadawane przez Niemców, Francuzi z większą pogardą i nienawiścią odnoszą się do Włoch jak do Niemców. Naród Francuski, choć skrupowany, nie zniósłby dłużej polityki Laval, gdyby ten ważył się uwzględnić żądania włoskie. Stąd dojść może do starcia francusko-włoskiego, które wobec rozbicia francuskiej siły lądowej spowodowałoby się do ewentualnych działań na morzu. Wątpić należy czy Włosi zaryzykują spotkanie z potężną, mimo wszystko, flotą francuską, która, co nie jest wykluczone, mogłaby porozumieć się z jednostkami floty brytyjskiej. Sam fakt ewentualnego użycia floty włoskiej do określonego celu już osłabia jej pozycję strategiczną.

To zagadnienie sprowadza nas do zajęcia się problemem wojny morskiej. Prowadzona dotąd akcja jednostek marynarki brytyjskiej, mimo licznych zwycięstw w spotkaniu z flotą włoską, nie doprowadziła do celu pożądanego tj. do zabezpieczenia żegluga angielskiej i dróg komunikacyjnych na Morzu Śródziemnym. Działania niemieckich łodzi podwodnych, liczne interwencje lotnictwa niemieckiego doprowadziły za to do znacznego osłabienia stanu posiadania brytyjskiej floty Śródziemnomorskiej.

Walka o morze Śródziemne jest częścią wysiłku angielskiego opanowania dróg morskich, w którym na razie słabo sekunduje Ameryka. Położenie na wszystkich morzach jest współzależne. Obecność niemieckich okrętów w Trondheim, działalność łodzi podwodnych i lotnictwa niemieckiego na szlakach połączeń anglo-amerykańsko-sowieckich zmusza liczne jednostki floty angielskiej do interwencji, co jest powodem, że osłabiona licznymi stratami flota Śródziemnomorska nie może doczekać się koniecznego wzmocnienia. Niewiadomą jest nadal pozycja walczących stron na wodach Pacyfiku. Bitwa pod "Luiziadami" nie pozwala na wytworzenie żadnego sądu o stosunku wzajemnych sił. W przeciwnieństwie do niezgodnych z rzeczywistością komunikatów sowieckich i niemieckich, alianci działania na Pacyfiku otaczają nieprzeniknącą tajemnicą. Do dziś nie wiemy jakie straty poniosły jednostki angielsko-amerykańskie w starciu ze strażą przednią japońskiej floty inwazyjnej.

Od stosunku sił znajdujących się na tych wodach jednostek zależy los Australii. Z chwilą gdyby wojska japońskie stanęły na lądzie Australijskim, nic nie powstrzymałoby ich pochodu. W Australii jest około 2.700.000 mężczyzn w wieku od 15-65 lat, ok. 250.000 już znajduje się na różnych teatrach wojny. Mimo powrotu do Australii jednej z najbardziej doświadczonych dywizji, i wylądowania wojsk amerykańskich, Australia nie byłaby w stanie obronić się. Obrona Australii możliwa jest tylko na morzu. Los starcia z potęgą japońską zależny będzie od udziału w walce Ameryki.

Przystąpienie Ameryki do wojny nie zaznaczyło się dotąd żadnym jeszcze bardziej znamienym pociągnięciem wojsko-

wym. Po zaskoczeniu na Pacyfiku, przez długi czas jedynie byliśmy świadkami ciężkich strat jakich amerykańska żegluga doznawała wzdłuż wybrzeży. Łodzie podwodne kierowane z centralnego dowództwa, którego siedziba jest położona gdzieś na wybrzeżu francuskim, są dotąd jeszcze bronią, która nie znalazła przeciwnika. Przedsięwzięcie akcji ofensywnej na większą skalę uwarunkowane jest wcześniejszym zlikwidowaniem działalności łodzi podwodnych.

Na razie straty morskie ponoszone przez koalicję są wciąż jeszcze zastanawiające. Jak napisał niedawno pewien admirał angielski w Sunday Times "Atlantyk jest tym terenem walki, na którym wojna może być jeszcze przegrana".

Londyn, 28.5. 1942.

ŚCISŁĄ łączność wydarzeń wojennych na morzach i lądzie oraz wpływu jednych na drugie wykazują najświeższe wydarzenia wojny w Libii. W czasie trzech miesięcy bezustannego bombardowania Malty Niemcy zdołali tak dalece związać angielskie siły, usiłujące przerwać niemieckie linje komunikacyjne europejsko-afrykańskie, że siły Rommla mogły zostać wzmocnione i uzdolnione do ataku.

Ambitnym planem Rommla było przywrócenie armiom niemieckim korzystnego położenia strategicznego jakiego chwilowo zostały pozbawione po nierozstrzygniętej bitwie na froncie Donieckim. W tym celu zamierzał po zlikwidowaniu brytyjskich punktów oporu i zniszczeniu angielskich jednostek pancernych pokusić się o zagarnięcie Egiptu. Ofensywa Rommla toczy się po obejściu linii umocnień angielskich ciągnących się od Gazali w kierunku na północno-wschód do Bir-Hakein. w rejonie na zachód od Tobruku.

Pierwsza faza ofensywy Rommla po 6 dniowym trwaniu nie udała się. Zamierzał on zdobyć Tobruk przy pomocy oddziałów desantowych które umożliwić miały uderzenie równoczesne z morza i lądu. Po takim sukcesie "linia" angielskiego oporu faktycznie byłaby ocięta i zlikwidowanie jej nie nastręczałoby większych trudności. Ale energia Brytyjczyków wytrzymała kilkudniowy napór niemieckich kolumn pancernych i uniemożliwiła Rommlowi dotarcie do Tobruku w czasie, gdy angielskie jednostki morskie zlikwidowały próbę desantu. Angielskie kontrataki i wyczerpanie paliwa oraz zapasów wody zmusiły Niemców do wycofania się. Nie mogło to się jednak stać bez oderwania się od nieprzyjaciela, dzięki czemu oddziały Rommla narażone były na bezpośredni pościg przez angielskie czołgi i zmuszone do cofania się pod silnym bombardowaniem artyleryjskim i z samolotów. To prawdopodobnie skłoniło Rommla do użycia wszystkich stojących mu do dyspozycji czołgów dla przeprowadzenia drugiej próby przełamania brytyjskiego oporu. O ile z komunikatów wywnioskować można, Anglicy zdają się posiadać w obecnej bitwie wyższość pod względem artylerji przeciwpancernej i pewną ilość cięższych, bo 28 tonowych czołgów amerykańskich, z także zdecydowaną przewagą lotniczą.

Niezależnie od dalszego przebiegu bitwy libijskiej, mamy do zanotowania inny fakt mogący mieć wpływ na przyspieszenie dalszego rozwoju wypadków wojennych. Chodzi o inicjatywę angielskich sił lotniczych, które dokonały nielada wyczynu, który, jeżeli przejdzie w schemat, może dokonać przewrotu w dotychczasowym rozplanowaniu dalszych wydarzeń wojennych. Po dłuższej, przez niepogodę narzuconej przerwie, angielskie lotnictwo użyło w dwóch, krótkich odstępach czasu odbytych nalotach, ok. 2.250 bombowców do bombardowania niemieckich ośrodków przemysłowych. Choć niema powodu by po tych wyczynach nieuzasadniony optymizm żywić, trzeba jednak zwrócić uwagę na bezpośrednie następstwa tak morderczego bombardowania. Z materialnych skutków widzę poza bezpośrednio spowodowaną szkodą przede wszystkim zniszczenie warsztatów produkcyjnych, wywołanie trudności w dostarczeniu uzbrojenia i amunicji, które może sięgać bardzo daleko, spowodowanie trudności aprowizacyjnych, komunikacyjnych i transportowych. Z moralnych skutków należy zwrócić uwagę na przygnębienie i osłabienie odporności społeczeństw wywołane olbrzymimi stratami, które grożą mieszkańcom szeregu większych miast przemysłowych. Muszą one w razie powtarzania nalotów wstrząsnąć po pewnym czasie morałem mas społeczeństwa niemieckiego, co może mieć duże znaczenie dla dalszego przebiegu wojny.

Londyn 3.6.42.

Junius.

NOTY I UWAGI

"Największym dorobkiem Polski w wojnie obecnej jest jednolita, nieugięta i konsekwentna postawa całego narodu. Ocenic ją można dopiero przez porównanie. My sami i słusznie mamy z września ubiegłego roku wspomnienia raczej cierpkie; wiemy, że nasza rozprawa militarna z Niemcami mogła wypaść znacznie lepiej, gdyby ster polityki polskiej i dowództwo armii spoczywało w innych właściwszych rękach. Ale pomimo to, gdy zestawimy polski wrzesień z majem i czerwcem na Zachodzie, musimy stwierdzić, że wielki egzamin charakteru nie wypadł źle dla narodu polskiego . . ."

Cytat z "WALKI", tajnego pisma wychodzącego w Kraju.—(R.1940).

GOSPODARKA SIŁAMI LOTNICZYMI.

W UBIEGŁYM miesiącu odbyła się w Ottawie międzysojusznicza konferencja w sprawach lotniczych. Dyskutowano przede wszystkim sprawę szkolenia nowych sił lotniczych i rozdziału ich między rozmaite fronty. Polska była reprezentowana również na tej konferencji. W prasie brytyjskiej i amerykańskiej znalazły się już echa postanowień konferencji ottawskiej. Musiały na niej zapadnąć ważne decyzje w sprawie prowadzenia wojny przez lotnictwo Sprzymierzonych, skoro już w kilka dni po jej zatwierdzeniu przybyli do Londynu dowódcy sił lotniczych przy amerykańskiej armii lądowej, z Gen. Arnoldem na czele, a w Waszyngtonie zapowiedziano rychłą wspólną anglo-amerykańską ofensywę lotniczą przeciw Niemcom.

Przy takich okazjach jak konferencja w Ottawie, ciągle od nowa przypomina się polski odcinek lotniczy w tej wojnie. Jest w tej sprawie kilka punktów, które nie przestają domagać się jasnego i wyraźnego postawienia, które nie przestaną napępiać troską. Lotnicy polscy, którzy włączeni zostali organicznie do RAF-u, od samego początku walk lotniczych nad Anglią nieprzerwanie brali i biorą udział we wszystkich działaniach nie prosząc o wytnienie i niezależnie od ustalonych norm ilości lotów. Służba ta nie ma nawet tej satysfakcji, aby była dostatecznie oceniana, bowiem słyszało się ostatnio ze strony czynników angielskich oświadczenia, iż nie jest rzeczą pożądaną, aby ujawniano specjalnie ilość samolotów nieprzyjacielskich, strąconych przez Polaków.

Z okazji konferencji ottawskiej przypomina się poza tym sprawa gospodarki również polskimi siłami lotniczymi i zagadnienie uzupełniania naszych kadr lotniczych nowymi ludźmi. Gospodarka dotychczasowa spowodowała poważne przerzucenie lotników polskich, którzy pełnili bez wytchnienia służbę, zanim długodystansowe imperialne programy szkolenia poczęły w pełni dawać rezultaty. Lotnictwo w końcowych fazach wojny będzie miało szczególnie wiele do powiedzenia. Wydaje się, że byłoby rzeczą pożądaną, aby w tych końcowych fazach było reprezentowane również i lotnictwo polskie, przynajmniej w tej samej skali, w jakiej był jego udział w najgroźniejszych chwilach tej wojny.

Czy będzie jeszcze dostatecznie liczne? Czy pomyślano o uzupełnieniu kadr?

Cisnie się dalej z nieodpartą siłą pytanie o problem dowodzenia tym lotnictwem.

POLSKA NIEMODNA.

Polityka ma również swoje mody. To, co kiedyś doznawało gromkiego aplauzu, nagle przestaje interesować. Do tematów, które w tej chwili na rynku polityki brytyjskiej przestały być modne, należy sprawa Polski. Znikły niemal z łamów prasy życzliwe omówienia wielu zagadnień polskich, zostały natomiast liczne niechętnie krytyki i wycieczki przeciw najżywotniejszym interesom Polski. Przyczyn należy szukać, rzecz prosta, w aktualnych koniunkturach politycznych. Nie można wszakże nie wyrazić zdziwienia, że to ochłodzenie dokonało się bardzo nagle. Sprawy, które doniedawna tak wysoko bywały oceniane, straciły widocznie swoją wartość i przestają być dostrzegane.

Znajduje to swoje odbicie również w oświadczeniach publicznych niektórych politycznych czynników angielskich. Przede wszystkim w trybie negatywnym. W tekstach, które aż proszą

się, aby w nich wspomnieć różne problemy polskie, nazwa Polski nie zjawia się zupełnie.

Charakterystyczna pod tym względem była dyskusja w Izbie Lordów nad przemówieniem księcia Bedfordu, który zaatakował Polskę. Rzecznik rządowy, odpowiadając na to przemówienie, nazwy Polski wogóle nie wspomniał, ani postawionych zarzutów nie odpierał.

Jest wiele szans na to, że i ta moda, jak wszystko co jest tylko modą, minie. Należy przypuszczać, że postarają się o to same wypadki wojenne. Powstanie koniunktura, w której realistyczna polityka brytyjska zacznie znowu oceniać znaczenie i ciężar gatunkowy Polski pełniej, aniżeli to czyni w okresie ostatnim.

PROJEKT ORGANIZACJI WŁADZ WOJSKOWYCH.

W "Dzienniku Polskim" z dn. 26 marca r.b. Nr. 575 ukazał się komunikat o uchwaleniu przez Radę Ministrów nowego projektu dekretu o organizacji naczelnych władz wojskowych w czasie wojny. Z komunikatu dowiadujemy się, że projekt rozgranicza kompetencje Naczelnego Wodza (gen. Sikorskiego — przyp. red.) i Ministra Spraw Wojskowych (gen. Sikorskiego — przyp. red.). Poza tym — głosi komunikat — "myślą przewoźną nowego dekretu jest wzajemny stosunek Rządu, jako nadrzędnej władzy ogólnopaństwowej i Naczelnego Wodza dowodzącego Siłami Zbrojnymi oraz kierującego całością operacji wojennych, oparty na zasadach demokratycznych". Nieudolność stylistyczna tego zdania idzie w parze z jego zagadkowością. W demokracjach władzą nadrzędną jest parlament, w naszej obowiązującej konstytucji — Prezydent Rzeczypospolitej. Czy demokratyzm projektu wyraża się w pasowaniu Rządu na władzę nadrzędną? Byłaby to nowa, ale dosyć swoista zdobycz na polu myśli demokratycznej.

WOLNOŚĆ SŁOWA . . .

W piśmie radykalnej lewicy angielskiej "New Statesman and Nation" a następnie w brukowym piśmie popołudniowym "Evening Standard" pojawiły się dwa kolejne artykuły, godzące w znaczną część polskiej prasy emigracyjnej. Autorzy artykułów, czerpiąc natchnienie z jednej i tej samej inspiracji, stwierdzają, że środowisko polskie w Wielkiej Brytanii posiada za wielką ilość pism. Uderza to zwłaszcza wówczas, gdy się zważy treść większości tych pism, która jest opozycyjna w stosunku do rządu polskiego i wsteczna społecznie, manifestując niejednokrotnie antysemityzm. Publicyści wspomnianych pism stwierdzają, że w okresie, kiedy należy tak bardzo oszczędzać papier, należałoby sobie również zadać pytanie, czy potrzebna jest wielka ilość pism polskich, zwłaszcza takich . . .

Troska zaiste podziwu godna. Dostarczmy jej nowych materiałów do przemyśleń i wystąpień. Bo cóż? Owe kwotowane pisma polskie, mimo swego "wstecznicstwa," są bardzo antyniemieckie, bardzo proaliantkie i stoją na usługach kampanii "V." Natomiast niebardzo takimi są liczne wydawnictwa książkowe, ukazujące się w języku angielskim nakładem pewnych firm wydawniczych. Między innymi i nakładowej firmy Gollancza, nastrojonej prosovietcko, ale i proniemiecko. Firma ta wydała ostatnio książkę Audreya Douglasa Smitha p.t. "Guilty Germans" ("Czy Niemcy są winni") oraz finansowaną razem z Fabian Society — serię wydawnictw emigrantów niemieckich, krzewiących bałamuctwa w sprawie winy Niemiec

za dzisiejsze nieszczęścia w umysłach angielskich. W tym nakładzie ukazała się broszura Hildy Monte i Hellmuta von Rauschenplat p.t. "Help Germany to revolt" ("Pomóż się Niemcom zbuntować"). W innym nakładzie pojawiła się praca G.O.G. Luctensa p.t. "A New Order for Germany" ("Nowy ład dla Niemiec"). Wspomnieć również należy o książce S. D. Stirka "The Prussian Spirit," która ni mniej ni więcej występuje z rewelacją, że nie całe dzisiejsze Niemcy są hitlerowskie, podstawa tego narodu, narazie utajona — jest z ducha swego pruska, a prusactwo to zbiór wszystkich cnót. Niema to jak rozumieć świat i pisać o tem książki. Ale i takie książki wydawać. Na to papieru nie szkoda, na wybielanie morderców i gwałcicieli prawa, na pomaganie im w wykręcaniu się od kary, aby po nowych 25 latach rozpętali jeszcze większą rzeź.

Wszystkie omawiane tu zjawiska, od cytowanych artykułów poczynawszy są produktem myśli i działań lewicowych kół intelektualnych. Ze środowiska tych kół wyszła również wspaniała deklaracja praw człowieka, która obecnie w polskiej wersji została wydrukowana. Prawem, oznaczonym numerem drugim jest prawo o wolności myśli i słowa:

"Człowiek każdy ma prawo do wolności słowa żywego i drukowanego do zgromadzeń i stowarzyszenia się, do modłów i obrzędów religijnych."

Ale jednocześnie źle jest, że pewne pisma polskie wychodzą, ze względu właśnie na wyrażane w nich poglądy. Gdzieś równie świetne zestawienie teorii ze stosowaną praktyką słyszeliśmy ostatnio, a wielu z nas doświadczyło na sobie. Czyż to nie hitleryzm przypadkiem głosił również wolność słowa, ale tylko dla hitlerowców.

Budowniczo "przyszłego, nowego i sprawiedliwego świata"!

MANIFESTACJE NA TRAFALGAR SQUARE.

Po Trafalgar Square chodzą niemal co niedzielę pochody i manifestacje, organizowane przez partię komunistyczną dla propagowania spraw sowieckich w Anglii. Nie widzieliśmy natomiast jeszcze jednej manifestacji na tymże ważnym miejscu Londynu. Nie przeciągnął oto tamtędy pochód, którego celem byłoby wyrażenie protestu przeciw aresztowaniu przez rząd sowiecki dwóch obywateli polskich, żydów, przywódców "Bundu" w Polsce, tow. Ehrlicha i Altera.

Tych dwóch działaczy socjalistycznych aresztowały Sowiety niemal zaraz po wkroczeniu na wschodnie ziemie polskie. Po układzie polsko-rosyjskim puścili ich na krótki czas, następnie poraz drugi aresztowały. Przyczem zwrócono podobno Rządowi Polskiemu ich paszporty polskie, donosząc, iż odtąd będą oni traktowani, jako obywatele sowieccy.

Nie można tego nie wyznać, iż żyjemy w świecie o logice wyjątkowo splecionej i niekonsekwentnej.

KLEPSYDRA BOYA.

Doszła do Londynu wiadomość, że w niemieckim obozie koncentracyjnym zmarł dr. Tadeusz Żeleński, Boy, "poeta, krytyk i historyk, tłumacz, który wielkość literatury francuskiej przyswoił Polsce, niestrudzony pionier postępu i bojownik o wolność myśli," jak podaje klepsydra, zamieszczona w jednym z pism.

Wiadomość o śmierci Boya wywołuje bardzo różne refleksje i uczucia. Zmarł niewątpliwie jeden z wybitnych pracowników kultury w Polsce, człowiek, który na życiu intelektualnym kraju ważył w ostatnich latach dwudziestu bardzo znacznie, choć większość jego wystąpień, zwłaszcza w zakresie reform społecznych, sprzeczna była z żywotnymi interesami narodu. Krwawy refleks tej wojny rzuca jaskrawe światło na niesłuszność też głoszonych przez Boya. Zmarł człowiek, który całym swym życiem przyczyniał się do stykania myśli polskiej ze wspólnym dorobkiem kultury francuskiej. Zmarł wreszcie człowiek, który pod koniec życia, dostawszy się we Lwowie pod okupację sowiecką, w nieprzyjemny sposób kollaborował z władzami okupacyjnymi.

Na ten bogaty i różnorodny żywot przychodzi męcząca śmierć w niemieckim obozie koncentracyjnym i odsuwa wszelką ocenę na czas odległy. Przyszły historyk kultury podsumuje wartość dorobku Boya i określi jego rolę oraz rodzaj wpływu, jaki miał na swoje społeczeństwo.

W Londynie odbyło się w kościele polskim nabożeństwo żałobne za duszę ś.p. Boya-Żeleńskiego. Budzą się refleksje,

napływają wspomnienia i potwierdza się wizja świata, w jakiej jedynie gmatwanina rzeczy doczesnych staje się zrozumiała i możliwa do zniesienia. Boy-Żeleński przez całe życie był przeciwnikiem Kościoła i religii, był polskim volterjaninem i "wrogiem Pana Boga." A oto wszystko i zawsze kończy się tak samo, na cichej, pokornej drodze, prowadzącej ku Devonia Road.

POLEMIŚCI Z "DZIENNIKA POLSKIEGO".

W połowie maja rządowy "Dziennik Polski" przyniósł facsimile wycinka artykułu z polskiej prasy amerykańskiej, który omawiał wyniki podróży gen. Sikorskiego do Stanów Zjednoczonych. Artykuł istotnie stoi na bardzo niskim poziomie myślowym i stylistycznym. Mieszają się w nim różnorodne argumenty wokół zasadniczej tezy, że w czasie swej podróży do Stanów Zjednoczonych gen. Sikorski wszystkie swe atuty rzucił na szalę Rosji, która — mówiąc nawiasem — w Ameryce nie musi być — w dalszym ciągu bardzo popularna.

"Dziennik Polski" ograniczył się do podania facsimile i, licząc na bardzo niski poziom artykułu, uważał za stosowne nie wyjaśniać samego poruszonego w nim zagadnienia. Prymitywizm redaktora amerykańskiego w chytrym zamiarze redaktora polskiego z Londynu miał automatycznie skompromitować podniesioną sprawę. Tymczasem oryginalna polemika "Dziennika" skompromitowała istotnie zdolności pisarskie autora artykułu, ale problem ostał się w całej pełni. Może by tak jednak z nim popolemizować, naświetlić i wyjaśnić...

Tymbardziej, że na łamach tegoż "Dziennika" w kilka dni później ukazała się relacja z wywiadu udzielonego jednemu z wielkich dzienników amerykańskich przez ks. prałata Kaczyńskiego, który jeździł do Stanów razem z gen. Sikorskim, jako jego towarzysz. W wywiadzie tym dostojnik kościelny dał między innymi również wypowiedzi na temat stosunku Rosji Sowieckiej do Kościoła katolickiego i religii. W świetle tych autorytatywnych zdawałoby się wyjaśnień teren Rosji sowieckiej jest terenem pięknej tolerancji religijnej, na którym krzewią się w sposób bujny i swobodny praktyki religijne... Zapamiętamy i to.

RAPTULARZYK.

W Radzie Narodowej przemawiał na plenum tow. Zygelbojm, przedstawiciel "Bundu". Tow. Zygelbojm w przebojowej mowie rozsunął przed słuchaczami bogatą kanwę pretensji i projektów, dotyczących przyszłych warunków życia w Polsce. Zostawmy realizowanie tych postulatów przyszłości. Narazie zaś zanotujmy taki oto szczegół: towarzysz z "Bundu" w słowach bardzo silnych zarzucił Rządowi Polskiemu — reakcyjność.

P. Szwarbart nie zgadzał się z wywodami swojego żydowskiego kolegi, z wyjątkiem chyba tego ostatniego punktu. Bo i on domaga się zmian w Rządzie na korzyść ludowców i socjalistów. Domaga się również trzeciego miejsca dla przedstawiciela żydów w Radzie Narodowej. Chłop ze Stronnictwa Ludowego, P. Zaremba wyrąbał parę słów odpowiedzi obu mówcom tonem pouczenia.

"Jewish Standard" (22.V.) domaga się stworzenia Komitetu Żydowskiego, któryby się zajął sprawą ghett. Ghetta powinno się do końca wojny traktować, jako obozy jeńców wojennych.

Tenże "Jewish Standard" zajmuje się obszernie i często naszym pismem, podając zresztą o nim informacje bałamutne i niesłuszne. Zajął się również sprawą cytowania w polskich audycjach radiowych artykułów "Myśli Polskiej". Pismo powiada, że za często cytuje się w radio "Myśl Polską". Do tego stopnia często, że aż oto "Robotnik Polski" musiał się zająć tą sprawą i przykrócić reakcyjne praktyki w Dziale Radiowym. W rzeczywistości zaś "Robotnik" doniósł na podstawie drukowanych w "Dzienniku" programów radiowych, że "Myśl Polska" była cytowana w radio niemal pod rząd trzy razy.

Niestety, z zalem musimy powiadomić sumiennych publicystów z "Robotnika" i "Jewish Standard", że — mimo zapowiedzi — nie była w owych dniach "Myśl Polska" cytowana ani razu. Zdaje się, że ze względów cenzuralnych. W numerze, który miał być cytowany mówiliśmy za wiele o polskości Lwowa i Wilna...

Niech żyje przyszły porządek świata, demokratyczny, wolny, sprawiedliwy, ale i taki w którym będzie można łąć, ile wlezie. Łgarstwo jest bowiem synonimem sprawiedliwości na płaszczyźnie pustego frazesu.

Z PRASY I PUBLICYSTYKI

P R A S A

ZAGADNIENIA SOWIECKIE

PROBLEMAT ROSYJSKI

Harold Nicolson w swych tygodniowych *Marginal Comments z Spectatora* nie unika nigdy tematów trudnych i złożonych. Dlatego jest taki ciekawy dla czytelnika.

W bieżącej swej kronice zajmuje się bardzo otwarcie perspektywami i możliwościami rosyjskimi. Trochę go martwi i dziwi stanowisko szerokich sfer opinii publicznej w Anglii, które do tego stopnia wyolbrzymiają niewątpliwe zasługi rosyjskie, że aż nie widzą zasług angielskich ani też jakby na nie w przy szłości nie liczą.

"Nie widzę w czasie przeróżnych zebrań w Londynie czy na prowincji, by reagowano inaczej jak powierzchownie na jakiegokolwiek wspomnienie naszych własnych czynów na morzu, na lądzie czy w powietrzu; nie napotyka się nawet na żywą pamięć o strasliwym niebezpieczeństwie, przez które sami przeszliśmy ani nawet nie widzi wdzięczności dla tych, którzy pod natchnieniem bohaterskiego Leadera ocalili Wielką Brytanię wtedy, gdy była ona kaleczona, atakowana i samotna. Nie widzę również uznania dla beztrudnej a tak śmiałej pomocy, jaką ofiarowały nam w godzinie próby nasze Dominia i kolonie. Odmowa okupowanej Europy, aby poddać się Niemcom, groźbom i terrorowi (odmowa ta może kiedyś w późniejszym stadium wojny mieć rzetelną wagę strategiczną) uważana jest — zaiste niemiędrze, lekkomyślnie i egoistycznie — za coś samo przez się zrozumiałego. Wspomnienie o bohaterskiej a tak długiej walce naszych chińskich sprzymierzeńców wywołuje zaledwo powierzchowne współczucie, zaś wspaniały wysiłek Stanów Zjednoczonych zaledwo lekki gest potakiwania. Ale skoro się tylko wymówi słowo: *Rosja* całe tłumy wprost wybuchają płonieniem niby wiązka siana zanurzona w parafinie; czuje się wręcz powiew skrzydeł namietności."

A jednak... Przy całym, a tak zasłużonym podziwie dla wysiłku Rosjan, nie można zapoznać ich ogromnych trudności! "Nie jest *fair* wobec Rosji mówić tylko o chwale jej oporu, a nie postrzegać jej ogromnych strat w ludziach, materiale i terytoriach. Nie jest *fair* wobec własnego naszego narodu powtarzać z uporem, że kampania 1942 r. musi być dokładnym odpowiednikiem kampanii 1941 r., albo że za nastaniem sloty w najbliższym październiku Hitler koniecznie stanie znów wobec dwumilionowych strat i znów wobec braku leż zimowych i paliwa... Zaiste jeśli te nasze nadzieje zawiodą albo jeśli będą tylko częściowo spełnione możemy pożałować, że tak wielka część naszego narodu widziała w Rosji tak dobrze jak jedyną gwarantkę zwycięstwa, a zapomniała albo nie dość jasno postrzegając, że także i na Zachodzie zostały nagromadzone elementy potęgi, które choć długą i żmudną drogą, ale równie dobrze powalą Niemcy."

W wieczne czujnej, wszystkie — czy prawie wszystkie — możliwości obejmującej myśli i wyobraźni politycznej musi się jednak znaleźć jeszcze miejsce i na inną troskę. Hitler nie jest u kresu swej przewrotności i nie wyczerpał swoich pomysłów i sposobów.

"Jest wysoce prawdopodobne, że, jeśli mu się nie uda odnieść ostatecznego zwycięstwa nad Rosją, Hitler będzie się starał rozpaczliwie wydobyć z matni ofiarując przeciwnikowi jak najhojniejsze warunki. Zawsze był

wszakże skrajnym oportunistą: jeśli by to uznał za stosowne i praktyczne, nie zawaha się swą całą anty-bolszewicką krucjatę zarzucić tak dobrze jak to już raz uczynił w sierpniu 1939 r. Musimy pamiętać, że Hitler (z cechującą go małą troską o cudze dobro) może Rosji zaofiarować sowing nagrodę wzamian za pokój na Wschodzie. Mogłby np. na wypadek swojego zwycięstwa na zachodzie ofiarować Rosji — nie tylko Cieśniny czarnomorskie, ale i Zatokę Perską, a nawet całe Cesarstwo Indyjskie. Co wtedy? Jakież kontrpropozycje mogłyby narodzić sprzymierzone wysunąć jako pendent do takiej hojności?"

"Jeux du hasard et de la politique" zapewne. Ale bardzo dobrze, że bardzo realnie przewiduje się wszystko choćby się nawet w to nie wierzyło.

P. Harold Nicolson wie dobrze, że się go posadzi o anty-komunistyczne nastawienie. Nie o tu mu idzie zapewnia, a tylko o coś zupełnie innego:

"Załużę tylko, że moi rodacy wszystkie swe nadzieje, niby jajka na sprzedaż, złożyli w jedną rosyjską korbalkę. Korbalka to mocna i krzepka, uniosłaby napewno wszystkie jajka na jarmark. Ale koszyk to nie jedyny. Mamy przecież także i swój własny koszyk który okazał się wcale silnym i odpornym, a z którego powinniśmy być dumniejsi niż jesteśmy. A jest też i ogromny koszyk amerykański, silny, przestronny, taki że uniesie chyba wiele, wiele milionów jaj..."

Tyle p. Harold Nicolson, który na tych właśnie słowach kończy.

Zaprawdę wolelibyśmy obraz inny: aż strach bierze, by zanim się je na jarmark, to znaczy na konferencję pokojową doniesie, te miliony jajek nie potłukły się w tych rozlicznych koszykach, ale juścić że korbalka rosyjska a nie jest ani jedyna ani najpewniejsza.

TOLERANCJA SOWIECKA

Wprost zawrotną karierę robi w naszych oczach tolerancja sowiecka. Niedawno jak się dowiedzieliśmy z *Dziennika Polskiego* (22.V.42). Ks. Kaczyński — członek Rady Narodowej — udzielił wywiadu amerykańskiej gazecie "P.M." w którym podniósł, a nawet podkreślił, że w przeciwieństwie do Rzeszy, w Rosji religia "wydobywa się z ciemności i poczyną zajmować należne jej miejsce w życiu narodu."

W dzień potem — 23 maja — *The Times* w artykule wstępnym zamieścił następujące jakże znamienne zestawienie, dotyczące konieczności sharmonizowania "wielkiej i owocnej zasady narodowości" z bezpieczeństwem sąsiadów.

"W obecnym wieku problem ten został postawiony a jego rozwiązanie popróbowane. Liga Narodów była pierwszą próbą takiego rozwiązania na światową skalę. Rosjanie mają swój wysoce rozwinięty schemat dla połączenia razem różnych ras zamieszkujących Unię Sowiecką. Sami entuzjastyczni teoretycy mówią o przykładzie Stanów Zjednoczonych." Zaś autor artykułu wskazuje — słusznie — na nieprześcigniony wzór Imperium Brytyjskiego.

A więc między Stanami a Imperium Brytyjskim, prawdopodobnie ponad Ligą, która zawiodła, wsunięto tu Unię Sowiecką, z jej snąc przykładnym traktowaniem jej mieszkańców ukraińskich, a też i litewskich, łotewskich, estońskich i niestety polskich, w momencie nastania okupacji, która przecież dla Rosji, słyszeliśmy, okupacją nie była...

Zaprawdę miał wielki Shakespeare rację kiedy ustami Hamleta mówił:

There are more things in heaven and earth,
Horatio,

Than are dreamt of in your philosophy,
rolę Horacja grają tu filozofowie z *Times* i do nich też tę apostrofę zwracamy.

JAPONIA

PROBLEMAT JAPONII

W jednym ze swych ostatnich doskonałych przeglądów tygodniowych, *Scrutator* zajmuje się w *Sunday Times* rolą Japonii w Osi. Była ona od początku dość samodzielna, i, jak się zdaje, coraz mniej zadawała Niemców. "Dyplomacja niemiecka napewno robi co może w tym kierunku, ale Japonia okazała znaczną samodzielność wewnątrz Osi. Lubi wyznaczać sobie własne kierunki w swoim własnym czasie. Lubi spożywać swoje potrawy o swoim czasie. Pamięta doskonale o obecności Rosji na Dalekim Wschodzie, a zwłaszcza na wybrzeżu, a to z powodu istniejących tam lotnisk zagrażających samemu Tokio. Dlatego właśnie uniknęła dotąd Japonia znalezienia się w wojnie z Rosją."

"W pewnych okolicznościach niewątpliwie Japonia by się na to zdobyła. Gdyby np. Rosja wydawała się już decydująco pobita, Japonia zgłosiłaby się po udział w łupach właśnie tak jak to Mussolini zrobił wobec Francji w 1940 r. Japońska interwencja

w Rosji mogłaby również mieć miejsce na wypadek długotrwałej równowagi sił na Zachodzie. Ale czy Japonia uderzyłaby teraz, jedynie dla synchronizacji z uderzeniem Niemiec — to rzecz inna.

"Sowiety, jak wiadomo, utrzymują osobną armię we wschodniej Syberii. Jest ona rekrutowana, zaopatrywana i ekwipowana na miejscu. W teorii armia ta nigdy nie jest odciągana do terenów europejskich. Oczywiście takie wypadki jak zagrożenie Moskwy zeszłej jesieni muszą odbijać się na takiej teorii. W rzeczywistości Moskwa została ocalona dzięki wojskom syberyjskim... Japoński atak byłby wtedy odbił się dotkliwie na Moskwie."

"Jak z tego widać nie sposób jednak jest odłączyć od siebie wojen japońskiej i niemieckiej."

Wynika z tego jasno, że Anglia i Ameryka stworzyły już bardzo dla Rosji pomyślny front drugi o którym tyle się teraz mówi. "Anglosaskie mocarstwa wyrządziły Rosji dużą i bezpośrednią usługę wiążąc ręce

Japonii. Najlepszą do tego drogą jest obecnie topienie japońskich okrętów."

Shipping stanowi bowiem równie dotkliwą kwestię dla Japonii jak dla Anglo-Amerykanów, a raczej znacznie dotkliwszą ze względu na trudności wypełnienia luk, powstałych ze strat. Nie co innego

hamuje obecnie zapędy Japonii ku Indiom i Cejlonowi.

Wszelkie poczynania morskie, kierowane przez Anglię i Amerykę przeciw Japonii, są istotnym, majstotniejszym drugim frontem, znakomicie odciążającym Rosję.

Nie wolno o tym zapominać.

PLANOWANIE PRZYSZŁOŚCI

OPINIA PUBLICZNA A PLANOWANIE PRZYSZŁOŚCI

Weekly Review bardzo charakterystycznie popiera p. Winstona Churchilla w pewnej polemice wytoczonej przez *Times*:

"Korespondent *Times'a* nawiązując do sprostowania Premiera, iż "myślenie i planowanie na temat przyszłości odciąga od skoncentrowania się w wysiłku wojennym," ciągnie dalej: "kierunek opinii publicznej nigdy tu nie ulegał wątpliwości," co naprowadza nas do wniosku, iż ów korespondent zamierza poprze sprostowanie Premiera. Otóż wcale nie. W rzeczywistości uważa on, że "opinia publiczna" domaga się mrzonek rozszerzenia Charty Atlantycznej i natychmiastowego rozpoczęcia budowy fundamentów pod nową strukturę społeczną. Gdzież właściwie ci panowie znajdują tę swoją "Opinię publiczną?" Może w Brytyjskim Instytucie Opinii Publicznej. Ale jest nonsensem twierdzenie, że prosty *man in the street*, na ulicy więc, czy też w pub'ie lub w club'ie mówi o rozszerzeniu Charty Atlantycznej albo nawet wogóle o Charcie Atlantycznej. W rzeczywistości, najprawdziwszej rzeczywistości, rzecz się ma tak, iż "opinia publiczna" jest całkowicie po stronie Premiera. A mianowicie, żąda skoncentrowania się na wojnie i uważa powojenne planowanie za coś co jest dobrym zajęciem dla umysłów kapryśnych, których wiek wojskowych minął (something to occupy the minds of cranks over military age).

PRIMUM VINCERE DEINDE PHILOSOPHARI

Prawda powyższa toruje sobie drogę coraz wyraźniej: najpierw dbać o zwycięstwo. To jest troska najpierwsza, przy której wszystko inne blaknie i schodzi na plan dalszy.

Ostatnio zabrał w tej sprawie głos Dr. Headlam, biskup Gloucester cytowany z wdzięcznością przez tygodnik *Truth*. Oto słowa, istotnie rozsądne i mądre tego anglikańskiego teologa:

"Prasa pełna jest mów wygłaszanych przez wszelkiego rodzaju teoretycznych polityków na temat rekonstrukcji powojennej. Mam nadzieję, że zostanie nam przecież użyczony jakiś czasokres pośredni, w czasie którego będziemy mogli nieco pomyśleć nad tym co się gotuje. Przygotowują w porze obecnej ową rekonstrukcję różni idealisci, maniacy (faddists), teoretyczni postępowcy i jak im tam na imię, zaś wszyscy ludzie inteligentni zajmują się w miarę sił i możliwości wygranem wojny. A właśnie tych ludzi rozumnych zdania będziemy bardzo potrzebowali w budowaniu przyszłości ("It is the idealists, the faddists, the progressists, or whatever one may call them, who are reconstructing the world at the present time, and all intelligent people are engaged on doing their best to win the war. We want the intelligent people to advise us as to what has to be done in the future.")

Drobiazgowe planowanie świata w chwili, gdy nie są znane ani granice ani elementy, ludnościowe i społeczne poszczególnych państw zaiste wyglądać ładnie może na dzielenie skóry na żywym niedźwiedziu...

CENNA INSTYTUCJA

Swoją pobyt przymusowy w Anglii winniśmy wyzyskać możliwie najlepiej dla zaznajomienia się z szeregiem tradycji i politycznych form życia, które są tu wynikiem długich nieraz doświadczeń.

Do takich instytucji należy t.zw. nieoficjalny Komitet członków prywatnych (private members) Stronnictwa Konserwa-

tywnego (t.zw. "The 1922 Committee of Conservative private members.") Co to oznacza?

Oznacza to, iż, mimo że Stronnictwo deleguje swych przedstawicieli do gabinetu, nie uczestniczą oni — tym samym właśnie — w zespole członków Stronnictwa do Rządu nie wchodzących. Ci zaś mają właśnie głos w sprawach dotyczących Stronnictwa i jego polityki.

Funkcjonowaniem i istnieniem tego ciała — atakowanego zresztą za krytykę pewnych poczyniń rządowych — zajął się niedawno w artykule wstępnym — też *signum* wagi zagadnienia — *Daily Telegraph* z 13 maja:

"Odmienne od wielu innych organizmów tego typu, organizacja ta przetrwała, bo za paru nawrotami korzyść płynąca z jej istnienia została udowodniona. Wtedy gdy czas przemówień w Izbie Gmin nad poszczególnymi zagadnieniami został ograniczony, wtedy właśnie Komitet 1922 r. wysunął się na czoło jako dodatkowa arena dyskusji, wyjaśnień i sugestii. Jest to ciało całkowicie uprawnione do wygłaszania korporatywnej opinii. Nikt posiadający zrozumienie dla efektywności i sprawności demokratycznych instytucji, nie może nie uznać potrzeby takiej działalności."

Albowiem, w tym kraju, *sprawność* demokracji polega na szanowaniu życia wypróbowanych form zespołów politycznych, jakimi są wielkie stronnictwa. Kto życie tych

stronnictw burzy, waśni i podcina, ten w tym kraju — traci prawo przypisywania sobie demokracji i zaliczania siebie do niej.

ZYDOWSKI NATIONAL HOME.

P. J. H. Hofmeyr, południowo-afrykański minister finansów wygłosił na powyższy temat bardzo pozytywne i konstruktywne przemówienie, które przytaczamy za *Evening Standard'em*, z dnia 14 maja: "P. J. H. Hofmeyr oświadczył w przemówieniu, wygłoszonym w Johannesburgu, że, pod koniec wojny w chwili gdy Europa będzie w stanie chaosu, z milionami wysiedleńców i w stanie straszliwego rozbitcia, budowa żydowskiego Narodowego Home'u odegra wielką rolę w rozwiązaniu jednego z powojennych problemów."

"Jedną z zasadniczych rzeczy w powojennym świecie będzie zachowanie na zawsze w rękach demokracji wrót Średniego Wschodu."

"Otóż niema lepszego sposobu zabezpieczenia takiego stanu rzeczy jak realizacja "Żydowskiego ideału" narodowego home'u."

Ze swej strony poparł to rozwiązanie zdecydowanie prezydent Roosevelt, jak donosi *Times* z 27 maja;

"Prezydent Roosevelt ponownie dał wyraz swemu zainteresowaniu sprawą założenia Żydowskiego narodowego home'u w Palestynie, a to w orędziu (message), które zostało odczytane wczoraj wieczór na dorocznym obiedzie Amerykańskiego Komitetu Palestyńskiego."

Byliśmy zawsze zdania, że kłopoty z żydami płyną właśnie z tego prostego a jakże brzemienne w wiekowe następstwa faktu, iż żydzi nie mają swego własnego home'u państwowego. Im mniej będzie poezji czegoś nieosiągalnego i nieiziszczalnego, a im więcej realizmu w żydowskich dążeniach do własnej siedziby — tem będzie dla nich i dla innych lepiej.

SPRAWY POLSKIE

NIEDOPUSZCZALNE PROCEDERY

Przedostatni numer *New Statesman'a* zajmuje się — o dziwo — sprawami polskimi. Tygodnik ten zachowuje zazwyczaj tak zaciete milczenie w sprawach polskich, że ostatnio zdołał zamieścić artykuł o prasie podziemnej podbitych krajów Europy — z opuszczeniem jakiegokolwiek wzmianki o takiej prasie w Polsce!

Tym razem zajmuje się jednakowoż i Polakami i Strattonem. Oto co czytamy:

"Dużo niepokoju jest w polskich korytarzach. Myślę oczywiście o korytarzach na Malet Street, na Stratton Street i w innych podobnych ośrodkach oficjalnych gdzie pewni polscy propagandyści zbierają się, aby protestować przeciw sugestii, iż, otrzymawszy papier od Rządu Brytyjskiego, a także i licencje wydawnicze, winni na chwilę powstrzymać się od prowadzenia najniebezpieczniejszej agitacji przeciw jednoci Aliantów i Unii Sowieckiej: urzędowe osobistości Rządu Sikorskiego ("Officials of Sikorski's Government") skarżyły mi się niedawno, że niektóre publikacje wprost czy pośrednio ułatwione przez Rząd Brytyjski z trudnością mogłyby być bardziej niebezpieczne, gdyby były wydawane przez nazistowskich agentów. Najbardziej uderzającym winowajcą zdaje się być Mackiewicz, którego pisma krążą uślnie wśród pewnych kół wojskowych polskich. Używa on najostrzejszego języka wobec sowieckiej Rosji, a też i, dla dalszego zcementowania Sprzymierzonych Narodów, atakuje Czechów pytając: "Jakaż właściwie wartość przedstawia przymierze, jeśli jeden z Aliantów nie chce bronić granic dyplomatycznych drugiego Alianta?"

Z p. Stanisławem Catem-Mackiewiczem mieliśmy tu nieraz na pieńku; ale broni on swego Wilna jak umie najserdeczniej — i to uważamy za szacowne i szanowne. W poprzednim numerze zajmowaliśmy się już zatrutą

bronią, jaką się wobec niego stosuje (trucizna logiczna, jeśli się tak wyrazić wolno, leży w podsuwaniu mu sprzeczności tam gdzie, jako żywo, tej sprzeczności niema). Dziś chodzi nam o co innego, i tylko o jedno. Atak angielski na polskiego dziennikarza przeprowadzony, jest jednak zjawiskiem tak uderzającym i rzadkim, że autor przezornie powołuje się na informatorów polskich, i na nich się opiera. Nie możemy mu mieć tego za złe, owszem uważamy, że jest w tym pewna z jego strony delikatna wstydlivość.

Natomiast tym panom, co go z polskiej oficjalnej, t.zw. "Strattonskiej" strony informowali, możemy powinszować tej funkcji istotnie wyjątkowo niezaszczytną.

Wyciąganie wewnętrznych polskich zatarłów przed forum zewnętrzne, i wciąganie w nie czynników obcych, bywało dotąd zawsze zgodnie przez wszystkich piętnowane...

Cenny dla historii przyczynek do życia tułactwa z 1942 r. Wychodźstwo to tym się przecież szczyty i różni od wszelkich poprzednich polskich emigracji, że ma swój polski Rząd!

Jeśli nie *noblesse*, to w każdym razie *gouvernement oblige*...

Zdawaloby się.

BENIOWSKI

W dzisiejszych tak już niespokojnych czasach zanosi się najwyraźniej na jeszcze jedną wojnę i to czesko-polską. Ponieważ perspektywy te uważamy za groźne i niezdrowe, poprobujemy w miarę sił niebezpieczeństwo to zażegnać.

Wszystkiemu zawiń! Madagaskar i londyński organ *Czechoslovak*.

A miała się rzecz tak. W numerze 20-ym tego pisma ukazała się notatka p.t. Moric August I — madagaskarski król — Cecho-

slovak?, w której przypomniano awanturniczy żywot Beniowskiego, dodając do tego zdanie następujące: "Polacy twierdzą, że Beniowski był Polakiem... ale to niczego nie zmienia, jak nie zmieniło w innych wypadkach. Faktem jest, że urodził się on na Słowaczynie." — W odpowiedzi na to, *Dziennik Polski* wytoczył co miał najcięższego, bo aż Kopernika, Chopina i Mickiewicza, jako że ich nam nasi różni przyjaciele pragną pokonfiskować. Istotnie wspaniały dla Beniowskiego orszak.

W rzeczywistości nie bardzo się mamy o kogo upominać, i my i Cześć. W Polsce Beniowski nie uchodził jednak nigdy za Polaka, a raczej za Węgra w polskiej służbie. Pochodził on ze słowackiej zapewne, ale zmadziarowanej rodziny, która się za węgierską uważała. Nawet Larousse francuski uważa go za "aventurier hongrois." Po licznych przygodach i w wojskach cesarskich i w czasie wojny Siedmioletniej i w polskiej służbie, dostał się wreszcie w Polsce do niewoli rosyjskiej. Wywieziony na Kamczatkę, uciekł i poprzez Chiny wrócił do Europy, tym razem do Francji. Jako francuski wysłannik pojechał na Madagaskar dla założenia kolonialnej faktorii, i tak się tam dobrze spał, że go ludność królem obwołała, na co jednakowoż zgody swego francuskiego mocodawcy nie otrzymał.

Tak więc, nie widzimy istotnie powodu, żeby się o tego słowackiego, węgierskiego, rakuskiego, polskiego, wreszcie francuskiego awanturnika zbyt spierać.

Skoro już jednak spór powstał, proponujemy go zlikwidować. A że idzie tu bądź co bądź o króla weźmiemy w pomoc przykład — Karola Wielkiego.

Co do tego istotnie wielkiego władcy historia jest w kłopotcie, roszcza sobie do niego pretensje i Francja i Niemcy. Pochodzenia autentycznie germańskiego, tak jak i jego ówczesni poddani Frankowie, sam mówił po germańsku. Niemniej po rozbiciu się jego państwa, za czasów jego wnuków, na wschodnie Niemcy i Zachodnią Francję — okazało się, że znacznie głębiej zapadł w świadomość i pamięć francuską niż niemiecką. Jakoż stał się we Francji a nie w Niemczech ośrodkiem szerokiego ruchu epickiego, któremu zawdzięczamy Pieśń o Rolandzie. Niemcy mogli tylko setkami lat naśladować te pieśni francuskie, sami niczego nie stworzyli o tym bohaterze. Dlatego to historia, przynajmniej poetycka, Karola Wielkiego, Charlemagne'a, uważa go za Francuza. Jest on wszakże po dziś patronem sztubaków francuskich a nie niemieckich, i francuska młodzież szkolna, a nie niemiecka, raz do roku, na Saint-Charlemagne, raczona jest winem szampańskim.

Otóż nasz Maurycy — a nie Moryc — Beniowski stał się z kolei rzeczy bohaterem wspaniałego eposu Słowackiego, będącego dziwnym języka polskiego, a mniądcego się wszystkimi barwami tęczy poetyckiej, od ariostycznego uśmiechu poprzez sarkazm Byrona, aż do szczytności końcowych pieśni, nabrzmiałych bólem o Polskę i radością mistycznej wiary.

Proponujemy, by czeska poezja stanęła tu do zawodów: jeżeli przedstawi nam podobny utwór o Beniowskim, będziemy się zastanawiać. Jeżeli nie, trudna rada, w poetyckiej przynajmniej historii, Beniowski pozostanie nasz...

Jedno jest już teraz pewne, to mianowicie, że Beniowski może być uważany za Węgra, Słowaka czy, od biedy, Polaka, — ale w żaden sposób nie za Czechosłowaka, a to dlatego, że pojęcie "Czechosłowak" pochodzi z wieku XX-go, zaś Beniowski żył w wieku XVIII-ym.

Wszystko to traktujemy trochę żartobliwie, i wcale nie tragicznie.

Pogniewaliśmy się dopiero naprawdę, gdyby kiedy przyszło komu do głowy skonfiskować nam Juliusza Słowackiego, a to że względu nie na urodzenie się "na Slovensku," ale na nazwisko...

No, ale tu sprawa nasza byłaby tak oczywista, że zgodzilibyśmy się na arbitraż samego Stalina (wyrażamy tu nadzieję, że z uwagi na kontekst, cenzura nam tego ostatniego nazwiska nie skonfiskuje).

BRONISŁAW MALINOWSKI.

Jak doniosły depesze, umarł niedawno, tuż po otwarciu Polskiego Instytutu Naukowego w Stanach Zjednoczonych, prezes jego, znakomity etnograf i antropolog o światowej sławie, prof. Bronisław Malinowski. Jest on szczególnie serdecznie żegnany przez naukę angielską, która podkreśla, że miał on znaczne zasługi nie tylko wobec nauki angielskiej i uniwersytetu londyńskiego (London School of Economics), ale wręcz wobec Imperium Brytyjskiego. Oto co o nim pisze *Spectator*:

"Nagła śmierć prof. Malinowskiego jest wielką stratą dla antropologii w ogóle, a w szczególności dla Londyńskiej School of Economics, w której miał katedrę tego przedmiotu. Jego książka o mieszkańcach wyspy Trobrian jest jego głównym dziełem; ma ona teraz właśnie wcale szczególne znaczenie, gdyż ci nieszczęśliwi wyspiarze, których obyczaje Malinowski tak szczegółowo opisał — bardzo są to szczególne obyczaje — znajdują się w pełnym zasięgu bombardowania japońskiego w okolicach Nowej Gwinei. Bronisław Malinowski był na tym polu pionierem, gdyż wcześniej od niego antropologowie (przeważnie ze służby administracyjnej albo misjonarze, ubocznie więc tylko antropologowie), przebywali tylko krótko i przelotnie na terenach swoich badań. Malinowski, zupełnie przeciwnie, osiadł na jakichś 15 miesięcy wśród ludności Trobrianskiej, ucząc się jej języka i dzieląc jej codzienny tryb życia. Inną jego ważną dziedziną pracy było zastosowanie antropologii do administracji w Afryce, i gdzieindziej. Poprzez Instytut Afrykański w Londynie wykształcił on wielu kolonialnych administratorów dla Imperium. Jest coś szczególnie aktualnego w tym zjawisku o tym właśnie czasie: mają oni dług wdzięczności wobec tego znakomitego badacza, który był z urodzenia Polakiem po ojcu i matce, który studia swe odbył w Polsce, i który po wojnie poprzedniej przyjął obywatelstwo brytyjskie."

Bronisław Malinowski był Krakowianinem, synem polonisty Lucjana Malinowskiego,

poprzednika Jana Łosia na katedrze polonistyki U.J. — Był on również wychowankiem szkół krakowskich i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zagranicę wyjechał późno. Pierwotnie zamierzał poświęcić się matematyce i studia swe daleko w tym kierunku posunął.

Niezwykłą swą energią przejawiał po raz pierwszy w przewyciężeniu ciężkiej choroby oczu na którą zapadł. Był skazany — zdawało się — na całe życie na lektora, bo sam czytać nie mógł. Wyleczywszy się z tego kalectwa, bodaj zagranicą, przejrzał też i co do tematu swoich zainteresowań naukowych. Odziedziczywszy po ojcu żylkę językoznawczą, skierował się w stronę zagadnień pierwotnych społeczeństw i kultur. Doprowadził tu do bardzo znacznych i oryginalnych rezultatów, jako inicjator nowej metody opisowej, w której okazał się mistrzem i osobistością kierowniczą w współczesnej nauce światowej.

Około 15 lat temu Malinowski znalazł się na rozdrozu, na bardzo dla siebie bolesnym — mówił o tym — rozdrozu. Uniwersytet Jagielloński ofiarował mu katedrę. Katedrę tę Malinowski zdecydował się, po długim namyśle, odrzucić, przyjmując ofertę katedry w Londynie. Przeważały u niego względy czysto naukowe: Polska nie była w stanie dać mu warsztatu naukowego i terenu badań takiego, jaki posiadało Imperium Brytyjskie. Polska dzikich ludów polinezyjskich nie posiadała. Był to jeden z tych rzadkich wypadków, gdzie porzucenie obywatelstwa polskiego mogło być zrozumiane i wyrozumiane. Malinowski Polsce się zasłużył, bo imieniu polskiemu przysporzył sławy i blasku.

Jest to drugi już z rzędu znakomity polski badacz ludów pierwotnych. Pierwszym był Bronisław Piłsudski, badacz języków Sahaliny, który umarł w Paryżu, czasu Wielkiej Wojny.

Zaś kulturze angielskiej Polska drogą naturalizacji udzieliła drugiego już ze swoich synów: Conrad-Korzeniowski w literaturze angielskiej, Bronisław Malinowski w nauce angielskiej świadczą o polskiej energii i o polskich zdolnościach.

KSIAŻKA

ALDOUS HUXLEY: GREY EMINENCE

Przeciętny znawca historii Francji i jej wspaniałej literatury z XVII w. jest zaskoczony i zbity z tropu nie główną postacią — monografią Huxley'a, owym Kapucynem, doradcą Richelieuu przewanym szarym Eminencją, ale tłem historycznym i pobocznymi wnioskami autora. Można się z Huxley'em zgodzić co do błędów Ojca Józefa, i ubolewać nad tym, że chociaż mistyk, oddany kontemplacji, był równocześnie kierownikiem tajnej policji i wykonawcą nie jednej intrygi politycznej i nie jednego spisku. Najciekawszą może jest opisana młodość późniejszego mnicha, jego powołanie, apostołstwo wśród zakonnic. Huxley zarzuca mu, że później chciał służyć dwóm panom — Bogu i Cezarowi, i co gorsze, wyobrażał sobie, że natchnienie czerpane z umartwień i modlitwy, należy oddać na usługę wielkości Francji i monarchii francuskiej. Kariera polityczna Ojca Józefa opisana jest lekko i pobieżnie, to co robił i o co zabiegał wydaje się Huxleyowi tak pocieszne, że nie może się powstrzymać od nuty satyrycznej: królów, wojowników, ministrów puszcza w baletowy taniec, na wzór podziwianych w książce rycin Callota. Najbardziej niepokojące są różne poboczne wnioski. Huxley jest nowicjuszem w pisaniu biografii. Oczytanie jego i talent pisarski nie są w stanie zastąpić metody, będącej fachem literacko mniej zdolnych, ale wykształconych historyków. Upraszcza sobie zadanie, wyciąga pospieszne wnioski, na wzór autorów tendencyjnych i moralizujących powieści.

Huxley jest przerażony tym co się na świecie dzieje. Zresztą nie on jeden. Nie znosi wojny, okrucieństwa, lekceważenia doli milionów niewinnych ludzi przez polityków, zaprzęgniętych tylko rozgrywkami na mię-

dzynarodowej szachownicy. Uważa, że źródłem nieszczęść ludzkości jest egoizm narodowy, obecnie tak często potępiany nacjonalizm.

Wedle niego przewinienia kardynała Richelieu i Ojca Józefa w stosunku do Niemiec, były pierwszym nasieniem złego, z którego wyniknęły wszystkie następne, włącznie z obecną wojną. Gdyby Ojciec Józef nie był grzesznie rozmiłowany w "gesta Dei per Francos," Niemcy byłyby uniknęły ruiny ekonomicznej, kanibalizmu, ludność ich nie zmniejszałaby się z 21 milionów do 13-tu, wreszcie, po pokoju westfalskim nie popadłyby w strupiejszy feudalizm i średniowiecze, bo wówczas po raz pierwszy wytworzyła się przemoc biurokracji nad ludem i naród niemiecki przywykł do uległości. Cios, zadany między 1618 a 1648 monarchii Habsburgów był jeszcze szkodliwszy. Pozwolił na wzrost Prus, które następnie przyczyniły się do powstania zcentralizowanych, nacjonalistycznych Niemiec. A na nieszczęście w parę wieków potem błąd ten został powtórzony (str. 233) "Idea federalna, jedynie politycznie i filozoficznie mająca możliwości powodzenia w nowoczesnych warunkach, przepadła w r. 1919, bo wówczas zamiast wzmocnić i zreformować cesarstwo Habsburgów, politycy aliancy rozdzielili je na tuzin niezależnych ale zupełnie niezwytych państw." Korzyści, jakie Francja wyciągnęła z szowinizmu i zapamiętałego przywiązania Ojca Józefa do monarchii były równie zgubne. Ktoż, jeżeli nie on, wraz z kardynałem budowali totalitaryzm państwa francuskiego, z jego najgorszym wcieleniem Ludwikiem XIV na czele? Dosłownie Huxley stawia XVII wiek francuskiego "króla słońce" na tym

samym poziomie co Hitlera i Mussoliniego. Szczęściem, dodaje, ten pierwszy totalitarny monarcha nie rozporządzał materialną potęgą dni dzisiejszych. Coby się było stało, gdyby był miał Messerschmidty i telefony? Fatalizm wypadków toczył się jednak z nieubłaganą konsekwencją, bo rządy Ludwika XIV doprowadziły do rewolucji, z niej wyrósł znowu imperialistyczny dyktator, który najeżdżając Niemcy, utrwalił w nich przewagę Pruska.

Co najżywiej bawi i rozśmiesza Huxley'a w biografii Ojca Józefa, to jego konszachty z ks. de Nevers i marzenia o krucjacie państw chrześcijańskich na Turcję. Ten dobry Ojciec, w wolnych chwilach między modlitwą, kazaniem u zakonnic i polityką, zabawiał się komponowaniem łacińskiego poematu Turcjady. Żeby nam wytłumaczyć tak niezwykłą anomalię w łonie XVII wieku, jak chęć mordowania Turków, Huxley pisze, że muzułmanie, w wyobrażeniu ówczesnej młodzieży grali podobną rolę jak Indianie w życiu angielskiego chłopca w wieku szkolnym.

Ojciec Józef w tym niedowarzonem romantyzmie podobał sobie i w wieku dojrzałym i Turcjadę, ofiarowaną potem Papieżowi, rymował mniej więcej koło roku 1620, to jest właśnie kiedy Polacy bili się pod Cecorą i Chocimem. Tak czuły na nieszczęścia Niemiec w wojnie trzydziestoletniej autor zdaje się nie wiedzieć, że były wówczas kraje, stałe przez i urków zagrożone, których kobiety i dzieci były brane w jasyr, albo mordowane, że nawet wedle Toynbee'go historyka angielskiego, a nie kontynentalnego, Austria grała w Europie pierwszorzędną rolę dopóki tworzyła mur przed inwazją turecką, a roli tej powoli się wyżyła, kiedy dzięki pomocy Polski pokonała ich pod Wiedniem.

Ojciec Józef, po wstąpieniu do zakonu i dopóki nie zapragnął pogodzić życia kontemplacyjnego ze służbą publiczną był uczniem kwitnącej wówczas szkoły mistyków, a między innymi ojca Beneta z Canfield. Dlatego Huxley wnikliwie analizuje tę formę modlitwy i łączności z Bogiem, przedstawiając objawy mistycyzmu u hindusów, prawie równoznaczne z chrześcijańskimi. Dowodzi on, że mistycyzm wschodni zlał się z chrześcijaństwem dzięki św. Augustynowi, który przed nawróceniem studiował Plotyna, a ten znow był w łączności ze Wschodem. Dużo też zawdzięcza sam Huxley pomnikowemu dziełu Ojca Bremond "Histoire littéraire du sentiment religieux en France." Znając część tego ostatniego dla kardynała Berulle, dziwnym się zdaniu Huxley'a, który zarzuca kardynałowi, bezwiednie ale ostre zdlawienie mistycyzmu francuskiego. "Teologia, ewangelia i kościelna tradycja, pisze Huxley, były wedle Berulle'a zasadniczymi podstawami, wyższymi i osobistych doświadczeń i te ostatnie powinny być podporządkowane się pierwszym. Mistycy uznający tradycję Dionizego Areopagity dogmaty raczej nakłaniali do własnego doświadczenia i jeżeli byli bardzo posunięci na drodze doskonałości, przez to samo przestawali być wyłącznie katolikami." (str. 77). Trudno wymagać od Huxley'a całkowitego zrozumienia katolicyzmu, niemniej w książce, gdzie tyle uwagi poświęca rozważaniom nad życiem religijnym, mógłby się powstrzymać od zbyt arbitralnych sądów i nie przypisywać stłumienia najwyższych objawów religijności, kardynałowi Berulle, albo pośrednio jezuitom i oratorianom. Historyczne przyczyny były prawdopodobnie inne i w pierwszym rzędzie wypłynęły z tej subtelnej szkoły jansenistów, której skrupuły pokutowały w niejednym katolickim sercu, do chwili wielkiego odnowienia dokonanego w kościele przez Piusa X. Przedewszystkiem zaś pod koniec panowania Ludwika XIV przenikały już do Francji, z Holandii i Anglii prądy filozofii, które potem zakwitły w szkole encyklopedystów, zasadniczo wrogiej już nie tylko tradycji Dionizego, ale nawet Bossueta i Nicole'a.

Jeżeli jednak Huxley zbyt upraszcza historię i jak Dziennikarz w Weselu "spowiedź czyni . . . cudzych grzechów," to końcowe ustępy jego książki zasługują na baczna uwagę. Czasy obecnie przeżywane są straszne, nie uspasabiają też do rózanych i idyllicznych utopii. Huxley widzi Ludzkość, jako biedne zbiorowisko, podlegające stalemu zepsuciu, tym może szybszemu im zbiorowisko jest

większe. Nawet w najlepszej wierze rozpoczęte reformy kończą się niepowodzeniem. Np. upowszechnienie nauki, i zbiorowe władanie środkami produkcji, "okazało się w ręku państwa narzędziem powszechnego skrupowania i zmilitaryzowania i naraziło miliony — przed tym nietknięte — na wpływ zorganizowanego kłamstwa i na ponęty ciągłych głupich i poniżających rozrywek. Upanstwowienie środków produkcji, zastosowane na szeroką skalę w Rosji nie usunęło przemocy, lecz zastąpiło ją przez przemoc inną — potęgę pieniądza przez potęgę polityki i biurokracji, tyranie bogatego człowieka, przez tyranię policji i partii" (str. 243.)

Jedyny ratunek widzi Huxley w drobnych

zrzeszeniach ludzi modlitwy, ludzi, będących solą ziemi, bo w styczności ze światłem nadprzyrodzonym. Są w mniejszości, każdemu złemu zaradzić nie mogą, ale służą jako antydotum okropnej trucizny stale toczącej rodzaj ludzki. Przypomina zasługi Benedyktynów, domaga się niezależnego od państwa szkolnictwa, a pamiętać należy, że jego głos jest ważki, wśród licznych rzesz, stojących obecnie po za chrześcijaństwem. — W dzisiejszej chwili, pisał kto inny bo John Buchan, chrześcijaństwo znajduje się w tej samej mniejszości, co w okresie swego zwycięstwa, za panowania Konstantego Wielkiego.

Jan Rajewski.

DYSKUSJE.

RADJO W CZASIE WOJNY

O POLSKIE RADIO.

Artykuł p. Ewy Olszeńskiej o "Broni, która łamie wszystkie fronty" opublikowany w "Myśli Polskiej" z 1-go maja b.r. jest symptomatyczny dla środowiska polskiego w Londynie: tłumaczy, że radio jest naprawdę ważne. . . . Fakt, że ten artykuł się pojawił, dowodzi jak przedziwnie mało jest zainteresowania i zrozumienia dla roli radia a zasługą Redakcji jest udzielenie miejsca dla wspomnianego artykułu, pisanego z entuzjazmem i wiarą, że może nareszcie najbardziej zainteresowani zrozumieją w czem rzecz.

Autorka posiada niewątpliwie t.zw. "bierną znajomość radia" to znaczy jest osłuchana z audycjami od strony głośnika i dlatego bardzo słusznie podkreśla, że "radio jest niesłychanie czułe na wszelką sztuczność" oraz, że "czynnikami warunkującym powodzenie emisji radiowej jest uzyskanie bezpośredniego wrażenia" słuchacza. Święta prawda — niestety często zapomniana . . .

Pani Ewa O. rozumiejąc i czując możliwości radia, nie ustrzegła się jednak od pewnych nieścisłości w niektórych określeniach i rozumowaniach. Mogłoby to wywołać a raczej pogłębić parującą konfuzję pojęć w tej materii, która ma to do siebie, że jest, nie od dziś, tematem wielu rozmów, z których nie wiele wychodzi pożytku, bo co innego pogwarki o udanych lub nieudanych audycjach a całkiem coś innego poważne wnikięcie w zagadnienie, które ma to do siebie, że emocjonuje tych, którzy się pierwszy raz z nim spotykają. Mikrofon ma jakiś magiczny wpływ na tych, którzy się do niego dorwają. Zjawisko to nie jest nowe ale zawsze jednakowo niebezpieczne dla wszystkich. . . . Ale przejdźmy do tematu.

Na wstępie artykułu spotykamy twierdzenie, że "człowiek nie zdołał się z tym wszystkim oswoić. Spoufalenie przyjdzie samo. Potrzeba tylko czasu" oraz, że "musi uleść najpierw przemianie pewna sfera potocznych pojęć i doświadczeń a to w wielkich masach ludzkich wymaga długiego procesu." To twierdzenie wymaga zasadniczego sprostowania, gdyż, jak tego niezbicie dowiodła praktyka ostatnich conajmniej 15-tu lat — właśnie wielkie masy znalazły i wykazały znacznie więcej zrozumienia dla radia, niż t.zw. "górných 10 tysięcy." Masy już dawno przed wojną były oswojone i spoufalone z radiem, traktowały odbiornik jak przyjaciela, który daje im chwile jasne w szarości dnia. Im owe masy były biedniejsze — tem więcej wagi przykładały do radia, które im dawało bardzo wiele.

Taksamo faktem stwierdzonym przez wszystkie radiofonie jest na pozór dziwne zjawisko: "górných 10 tysięcy" nie tylko nie interesuje się radiem ale uważało do niedawna radio za coś pomiędzy katarzynką a lunaparkiem, coś co nie jest warte uwagi a coś dopiero słuchania. Oni byli "ponadto". Ba, istniał nawet snobizm "nie słuchania" bo "cóż

radio może dać ciekawego?" To też nie odpowiadali na ankiety, usuwali się i zamykali w izolacji. Było to jednak zjawisko normalne i na obronę owych "górných 10-ciu tysięcy" trzeba powiedzieć, że ponieważ byli to ludzie, którzy mieli możność korzystania z bardzo wielu innych źródeł rozrywki przeto nie potrzebowali radia. Byli stale zajęci, jak to bywa gdy się mieszka w mieście i albo wiedzie żywot bez troski ludzi bogatych albo gdy się jest intelektualistą pochłoniętym nurtem życia umysłowego.

To też nigdzie kierownicy radia nie kusili się o pozyskanie owych "górných 10-ciu tysięcy" natomiast dokładali wysiłków by dawać najszerzszemu masom nietylko godziwą rozrywkę ale i odpowiednio przemysłaną i podaną strawę duchową. Ambicją każdego radia było słuzenie "maluczkim" a listy słuchaczy kierowane do n.prz. "Polskiego Radia" z prośbą o doręczenie panu Sokratesowi i radzące mu by od wyroku śmierci zaraz apelował, bo przecież jest niewinny . . . lub listy do "Polskiego Radia" by częściej zamawiano u Redaktora Platona doskonale słuchowiska — były dla organizatorów i twórców programu najcenniejszą zapłatą za trud. A niemałym trudem było organizowanie programu. Tu warto wspomnieć, że w roku 1936-tym, a więc w czasie gdy niemieckie radio już bardzo groźnie niosło pomruki — kilku profesorów Uniwersytetu Warszawskiego uniemożliwiło przemawianie przed mikrofonem młodemu asystentowi, który wykazał niezwykle wprost talent popularyzatorski. "Pan się deklaruje" . . . "nie przystoi adeptowi nauk i człowiekowi serjo swą pracę traktującemu występować z takimi prelekcjami i to w radio" . . . A ludzie próci usilnie dopominali się o tego prelegenta, bo ukazywał im nowe światy, rozszerzał horyzonty myślowe, odrzynał ich od szarej rzeczywistości i budził nowe zainteresowania . . . Na szczęście byli jednak inni przedstawiciele nauki, którzy niejedną pożyteczną audycję opracowali. Tu warto wspomnieć, że "Polskie Radio" nadawało w dziale słowa, nietylko same "sanacyjne pogadanki" jak to mniemają ci, którzy należąc do owych "górných 10-ciu tysięcy" — nigdy radia nie słuchali "z zasady" — bo z mikrofonu korzystali sanatorzy także . . .

A więc: przemiana pojęć o radio musi nastąpić nie w masach, ale u tych, którzy, do wojny zupełnie się radiem nie interesowali, i głusi byli na wszelkie wołania zwracające uwagę na niebezpieczeństwo jakie się czai w ich ignorancji. Byli jak ci sztabowcy, nie rozumiejący groźby lotnictwa i broni pancerniej.

Na czem ma jednak polegać owa "przemiana pojęć"? Chodzi o to by wszyscy zrozumieli, że wynalezienie radia umożliwiło renesans żywego słowa i że dało słowu nieograniczony zasięg. A żywe, gorące słowo,

namietnie mówione bardziej ludzi porusza niż najlepiej napisana odezwa czy artykuł. Bo druk jest zimny, jest pośrednikiem pomiędzy piszącym a czytającym. Niema między nimi bezpośredniego kontaktu, jednoczesnego współmyślenia, temperatury rozgrzewających się uczuć. Rewolucje robili ludzie mówiący do tłumów a nie rozdający ulotki. Słowo żywe bowiem działa raczej na uczucia i instynkty a słowo pisane oddziałuje na umysł, odwołuje się do rozumu. Zrozumiał to nietylko Hitler, największy rewolucjonista. Zrozumiał to już dawno Prezydent Roosevelt i dlatego mówił do "maluczkich" przy kominku i wygrał wybory, wbrew opinii górnych warstw społeczeństwa amerykańskiego, które także przeoczyły wartość radia. Przeoczyły tak jak przeoczyli europejscy politycy, ekonomiści, naukowcy i publicyści. I znowu nic w tem dziwnego: ci ludzie wychowali się i wyrosli na przełomie dwóch epok — epoki "słowa drukowanego" i epoki "słowa żywego." Dla nich druk, a więc gazety w pierwszym rzędzie, są nadal jedynym środkiem trafiającym do mas. I tu tkwi największa pomyłka. Z niej rodzą się złe audycje. Audycje "czytane" irytujące słuchacza i nie dające nikomu korzyści. I odwrotnie zbyt wielki entuzjazm dla radia,

nie pogłębiony znajomością psychologii słuchania i mikrofonu — daje także złe audycje, napuszone, sztuczne, pełne patosu i tego wszystkiego co drażni i brźmi nieszczerze.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Autorka twierdzi, że "straszną i potężną, wspaniałą, młodzieńczą, groźną, zjadliwą i niszczącą jest fala radiowa". . . . To chyba pomyłka, bo przecież fala radiowa jest zupełnie neutralna ale bardzo cierpliwa i niesie bez protestu wszystko to, co się produkuje przed mikrofonem. A od twórców audycji zależy czy żywe słowo niesione radiową falą do milionów słuchaczy przekształci świat, czy nie. Czy ich myśl, wypowiedziana w ciszy studia w sposób odpowiedni, zdoła wywołać oddźwięk u dalekiego słuchacza czy nie.

Artykuł Pani Ewy Olszeńskiej miał na celu zapoczątkowanie przekształcania poglądów na radio — słusznie, bo to ważne. Może wtedy coniektórzy ludzie wreszcie zrozumieją, o co właściwie chodzi i dostrzegą, że "radio to ważna rzecz" a praca w nim bardzo odpowiedzialna, bo "słowo jest jak kamień" o którym mówi przysłowie starochińskie.

KEY.

Londyn, dnia 5 maja 1942.

ODPOWIEDŹ

Szanowny Panie Redaktorze,

dziękuję uprzejmie za przysłanie mi do przejrzania uwag p. KEY, polemizujących z moim artykułem. Oto kilka słów odpowiedzi na te wywody:

Przed wszystkim chciałabym wyjaśnić zasadnicze nieporozumienie, z którego powstała cała polemika p. KEY. Nieporozumienie to wynikało z niedokładnego przeczytania mego artykułu przez autora polemiki, a polega na pomieszaniu dwóch odrębnych spraw. P. KEY założył, że moja uwaga o "przemianach w masach" odnosi się do zagadnienia radia w jego osiągnięciach dotychczasowych i w związku z tym wprowadza on dłuższy wywód na temat niewdzięczności "górnym 10 tysięcy" i entuzjazmu właśnie szerokich mas. Tymczasem tekst artykułu mówił o czemś zgoła innym i, ośmielałem się twierdzić, bardziej zasadniczym. Mianowicie o fakcie niedoceniania jeszcze przez masy (przyczem w skali moich rozważań wnikliwe rozróżnienie na "szerokie masy" i "górne 10 tysięcy" wogóle w grę nie wchodzi), przez masy, przez społeczności ludzkie, przez środowiska i instytucje wielkich narodów innych możliwości radia niż tylko rozrywka i "chwile jasne w szarości dnia." Nie byłoby całej, uczonnej diatryby polemicznej gdyby Szanowny Oponent, dopuścił choć na chwilę możliwość istnienia jeszcze innych problemów radiowych ponad te, które istniały do chwili wybuchu wojny.

Czytając uwagi p. KEY odnosiłam wrażenie, że mówimy o rzeczach zupełnie innych. Ja zakładałam, że w radio tkwią olbrzymie, niewyżyskane jeszcze możliwości, ważne również dla sprawy prowadzenia wojny. I twierdzię, że w stosunku do nich nie nastąpiło w świadomości społeczeństw pełne zrozumienie.

To jedno. Po drugie, na pewnym poziomie rozważań trzeba operować skrótami myślowymi, inaczej wszelka praca intelektualna zamieniłaby się w koszmar. P. KEY zgłasza pretensje do zdania stwierdzającego, że fala radiowa jest "straszną i potężną, wspaniałą młodzieńczą i groźną, zjadliwą i niszczącą." Występuje z odkryciem typu głębokiego wtajemniczenia fachowego, że fala radiowa jest — neutralną. Zbiór mechanizmów, który zgodziliśmy się określać nazwą samolotu, jest też sam przez się neutralny. Może służyć na przykład do przewożenia owoców z Ameryki południowej do północnej. Jeśli by wskazać w artykule akcentującą już u samego wstępu, rozważania o charakterze wojennym, w artykule ogłoszonym podczas wojny,

w Londynie, w piśmie polskim, była mowa o samolotach bojowych — tow takim wypadku autor artykułu ma prawo chyba na tyle zaufać czytelnikowi, że wprowadzone pojęcie zrozumie on tak jak należy, to znaczy od razu w sensie syntezy.

Cały głos polemiczny p. KEY obfituje w znaczne nierówności i zmieszanie bardzo różnorodnych pojęć. Jest więc w tym artykule i analiza społecznych kontrastów kultury, i zamknięcie problemów radia w pojęciu rozrywki, i lapidarne, jednookreśleniowe

DZIWNE PRAKTYKI NA ZJEŹDZIE ARCHITEKTONICZNO—BUDOWLANYM

W Zjeździe w czasie od 10 do 16 maja br. wzięli udział inżynierowie; architekci, lądowi, hidrotechnicy i miernicy.

Olbrzymią większość uczestników Zjazdu stanowili wojskowi. Według oficjalnego sprawozdania 80% inżynierów z reprezentowanych na Zjeździe dziedzin techniki znajduje się w wojsku. Z pozostających poza wojskiem tylko niestety 5% pracuje w swoim zawodzie.

Zatrudnieniem inżynierów i techników w angielskich przedsiębiorstwach zajmuje się Ministerstwo Pracy, i Op. Społ. które specjalnie wywalczyło sobie ten zakres kompetencji, pomimo że we Francji wchodził on w ramy innego resortu. Jednakże myliłby się, kto sądziłby, że te 5% to jest dorobek dwuletnich starań Ministerstwa Op. Społ. Znawcy stosunków twierdzą, że udział Ministerstwa w ulokowaniu na fachowych stanowiskach inżynierów wymienionych specjalności sprawował się zaledwie do paru wypadków.

Uczestnicy Zjazdu mieli okazję skonfrontować szumne zapowiedzi p. Ministra o odbudowie Kraju z jego dbałością o utrzymanie w stanie gotowości fachowej tych, którzy odbudowy tej mają dokonać.

Jeszcze w sierpniu 1940 r. na I Walnym Zebraniu Stowarzyszenia Techników w Londynie znaczna część inżynierów opowiadała się przeciwko oddaniu spraw inżynierskich kompetencji Ministerstwu, mającego inne zainteresowania i tradycje, aniżeli troskę o utrzymanie i podniesienie potencjału i kultury technicznej Kraju. Jednakże

scharakteryzowanie Hitlera, jako "największego rewolucjonisty." Jest dalej zupełnie bezkonkurencyjne ujęcie spraw wewnętrznych Stanów Zjednoczonych i roli Prezydenta Roosevelta, który "mówił do maluczkich przy kominku i wygrał wybory, wbrew opinii górnych warstw społeczeństwa amerykańskiego, które także przeoczyły wartość radia." Wreszcie znajdujemy tu spóźnione żale pod adresem uczonych polskich i trochę niejasne aluzje o "sanacji."

Należę do ludzi, którzy uważają, że skuteczność w każdej dziedzinie działalności, a więc i w radio, zależy od jasnej i precyzyjnej myśli. Sprawdzianem jasności myśli jest jasny i poprawny styl w mówieniu i pisanu. Dlatego bardzo mnie zmartwił sam tekst głosu polemicznego p. KEY.

Uwikłanie się w trudności stylistyczne wpływa na niejasność wysłowienia, jak to widać w takich interesujących stwierdzeniach: "Bo druk jest zimny, jest pośrednikiem pomiędzy piszącym a czytającym. Niema między nimi bezpośredniego kontaktu, jednoczesnego współmyślenia, temperatury rozgrzewających się uczuć." Więć jest ostatecznie zimny druk pośrednikiem i kontaktem pomiędzy piszącym a rozgrzewającymi się uczuciami, czy nie jest? Autor tych dwóch sąsiadujących ze sobą zdań pozostawia czytelnika w dręczącej niepewności.

Szanowny mój Oponent stwierdza, że "od twórców audycji zależy czy żywe słowo niesione falą radiową do milionów słuchaczy przekształci świat czy nie." Podpisuje to stwierdzenie obiema rękami. Zgodzi się tylko zapewne p. KEY na jeden warunek, że to słowo będzie poprawnie napisane. Nie sięgając nawet do autorytetu starochińskiego przysłowia można uwierzyć p. KEY, że "słowo jest jak kamień." Ale jak kamień w kształcie bumeranga. Czasem wraca.

Przy okazji łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Ewa Olszeńska.

Londyn.

Stowarzyszenie Techników Polskich, reprezentujące tysiąc kilkuset fachowców z wyższym i średnim wykształceniem technicznym jest zbyt ponętnym dla Ministerstwa Opieki Społecznej terenem wpływów i działalności. To, że Ministerstwo chciało znaleźć dla swych wpływów i racji bytu rekompensatę w Stowarzyszeniu Techników, opłacił cały nasz tutejszy świat techniczny bardzo drogo. W momencie przystąpienia do pilnej odbudowy okaże się, że setki naszych inżynierów i techników nie tylko nie przywozily zdobytego na Zachodzie Europy nowego doświadczenia i znajomości ulepszonych metod konstrukcji i pracy, ale nawet obniżyły swój poziom i gotowość zawodową wskutek zerwania przez lata ze swą pracą.

Trudno było uczestnikom Zjazdu zrozumieć dlaczego władze odmawiały zorganizowania 6 tygodniowego kursu budowlanego, skoro różne kursy, jak lekarskie, administracyjne ciągle się odbywają. Czyżby inżynierowie w czasie wojny i zaraz po jej zakończeniu mieli być mniej potrzebni od dziennikarzy na przykład.

Na czoło zagadnień wysunęła się dyskusja na temat prac związanych powojenną odbudową kraju, oparta o referat dr. L. Barańskiego p.t. "Gospodarcze Założenia odbudowy Polski."

Z referatu inż. Zamoyskiego, przedstawiciela Min. Przem. i Handlu dowiedziano się, jak znikome i nieskoordynowane są dotychczasowe przygotowania w tym zakresie. Zastrzeżenia wywołała także oficjalna teza w sprawie potencjału przemysłowego powo-

e nnych Niemiec, z jaką wystąpił dr. Pragier, kierownik działu Ekonom. Biura Celów Wojny.

W związku z dyskusją nad odbudową gospodarczą, grupa inżynierów — urzędników Min. Pracy i Op. Społ. usiłowała wykorzystać ogólne krytyczne nastawienie Zjazdu w sprawie dotychczasowych prac rządowych, na rzecz przeforsowania uchwały o konieczności powołania do życia Ministerstwa Gospodarstwa Narodowego. Poznano się jednak na ich grze i widząc dotychczasową nieudolność i trafnie przewidując w czyje ręce dostałby się problem odbudowy, za pośrednictwem Ministerstwa Gospodarstwa Narodowego, większość Zjazdu stanęła na stanowisku, że prace te muszą być prowadzone przez możliwie niezależny od bieżącej polityki specjalny Instytut. Zwolennicy Min. Opieki Społ. uważając widocznie swoją argumentację za zbyt słabą, sięgnęli do argumentów specyficznych. Uwajali się rzecznicy Ministerstwa Pracy i Op. Społ., i ofiarowywali na prawo i lewo, przeważnie na lewo, posady do nowego resortu, o ile tylko powstanie. Zabiegi te uzupełnione były i innymi metodami, które prawdopodobnie po raz pierwszy znalazły zastosowanie w Wielkiej Brytanii... Lepiej jednak nie chwalić się nimi przed gospodarzami.

Wynik głosowania uchwał Zjazdu był znamieny. Pomimo nacisku i zmobilizowania wszystkich inżynierów i techników przebywających w Londynie, z których zdecydowana większość, to albo urzędnicy, albo mający złeczone prace do wykonania, wnioszek inż. Harusewicz, poparty m.i. przez Inż. A. Doboszyńskiego, został uchwalony bez żadnych zmian:

"Pierwszy Zjazd Architektoniczno-Budowlany w dniach od 10 do 16 maja 1942 r. w Londynie obradujący stwierdza:

1. Powołanie Instytutu Planowania jest rzeczą konieczną.

2. Instytut winien być instancją fachowo-społeczną, współpracującą z Rządem i innymi niezależnymi organami państwowymi w płaszczyźnie równorzędności. W tym celu Instytut winien być powołany do życia przez Prezydenta R.P. tak, jak Najwyższa Izba Kontroli lub Rada Narodowa.

3. W skład Instytutu powinni wchodzić przedstawiciele następujących Stowarzyszeń:

- a. Stowarzyszenia Techników
- b. „ „ „ Ekonomistów
- c. „ „ „ Rolników i Leśników
- d. „ „ „ Prawników
- e. „ „ „ Lekarzy
- f. „ „ „ Nauczycieli
- g. „ „ „ Związków Zawodowych Robotniczych.

Rząd winien być reprezentowany w Instytucie nie przez delegatów poszczególnych resortów, ale Rządu jako całości.

4. Wobec próby dowolnej interpretacji uchwały nadzwyczajnego walnego zebrania Stow. Techników 12 kwietnia b.r. stwierdza się, że w żadnym wypadku uchwała ta nie powinna być rozumiana na rzecz wtórczenia całej pracy planowania w ramy Ministerstwa, które nieuchronnie prowadziło by na tory wpływów politycznych biurokratyzowania zanku niezależnej inicjatywy.

5. Do przeprowadzenia prac przygotowawczych i opracowania zasad organizacji Instytutu winni być powołani delegowani przez swoje środowiska fachowe przedstawiciele wyżej wymienionych organizacji fachowo-społecznych."

Podział głosujących był dość charakterystyczny. Za wnioskiem głosowali inżynierowie przybyli ze Szkocji i oni zdecydowali o wyniku wbrew zwolennikom Min. Op. Społ.

Z pozostałych ciekawą jest uchwała w sprawie "Wspólnot Budowlanych, powziętej po referacie inż. J. Polińskiego. Referent stanął na stanowisku, że nowoczesne i słuszne tezy o upowszechnieniu własności i dekoncentracji

kapitałów i środków produkcji winne znaleźć zastosowanie w dziedzinie przemysłu budowlanego. Pozostawiając drobny i średni przemysł prywatno-fachowej inicjatywie, wielkie roboty budowlane, jak np. kanały, drogi, koleje, zapory, wielkie budowle, osiedla, obiekty przemysłowe i t.p. winne być wykonywane przez: "Wspólnoty Budowlane," oparte o zasadę współwłasności wszystkich zatrudnionych pracowników, od dyrektora do robotnika włącznie. Zjazd przyjął tezy inż. Polińskiego.

Zanotować należy fakt znamieny, że grupa przedstawicieli i myśli socjalistycznej zupełnie nie zabierała głosu w dyskusji nad "Wspólnotami Budowlanymi," ale głosowała przeciw tezm. Ciekawe czym się kierowali socjaliści. Czy to tylko przejaw bezmyślności, czy też zejścia myśli socjalistycznej na nieoczekiwane manowce. A może ta milcząca manifestacja jest wyrazem czegoś głębszego, o co już oddawna wielu posadza socjalizm. Byłoby to potwierdzeniem teorii o nierozrwalnej symbiozie socjalizmu z kapitalizmem. Według tej teorii upadek kapitalizmu we wszelkiej jego postaci może prowadzić do upadku socjalizmu. Niezależnie od przyczyny dla której socjaliści przeciwstawili się obdarzeniu pracowników współwłasnością warsztatów pracy, robotników polskich w Kraju zainteresuje ten dość ciekawy objaw.

M.

Od Wydawnictwa "Myśli Polskiej"

Wydawnictwo "Myśli Polskiej" prosi uprzejmie P.T. prenumeratorów i sprzedawców, którzy zalegają z należnościami, o łaskawe wpłacanie zaległych kwot. W razie konieczności wysyłane będą stosowne rachunki. Na wypadek jakichkolwiek wątpliwości prosimy o natychmiastowe skomunikowanie się z Wydawnictwem.

Równocześnie Wydawnictwo dziękuje najserdeczniej wszystkim Przyjaciółom za datki na Fundusz Prasowy i prosi o podtrzymanie i rozszerzenie tej obywatelskiej akcji. Gdyby ktokolwiek z Ofiarodawców nie otrzymał dotąd stosownego pokwitowania, proszony jest uprzejmie o skomunikowanie się listowne z nami.

Wydawnictwo "Myśli Polskiej."

KOMPLETY "MYŚLI POLSKIEJ"

W wydawnictwie "Myśli Polskiej," 92, Eamont Court, London, N.W.8 są jeszcze do nabycia komplety lub poszczególne egzemplarze naszego pisma po cenie 9d za egzemplarz, dla nabywców amerykańskich po cenie \$1.50 za 6 egzemplarzy. Nabywcy amerykańscy oraz z innych krajów zamorskich proszeni są o równoczesne wpłacanie należności, najlepiej za pośrednictwem bankowym, gdyż wtedy dla nas ułatwione są formalności wojenne eksportowe.

Komunikat dla inwalidów:

Zarząd Zw. Inwalidów Armii Polskiej w W.B. podaje do wiadomości wszystkich Inwalidów, że przyjmowanie na członków Związku oraz udzielanie wszelkich informacji dotyczących spraw organizacyjno-inwalidzkich dokonuje Sekretariat Zw. Inwalidów Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii, którego tymczasowa siedziba mieści się w Eliock House, by Sanquhar D.F.S. Scotland.

za Zarząd
Jakub Sysak, Prezes Związku.

Dnia 17 maja 1942 roku zginął śmiercią lotnika

**Ś.P. Podporucznik
EGON BĄCZKIEWICZ**

Student Wydz. Mech. Politechniki Lwowskiej — członek Wydz. Gospodarczego Zarządu Grodzkiego S.N. we Lwowie

Prosimy o modlitwę za duszę zmarłego.

Stronnictwo Narodowe.

Już wyszła z druku książka
WALERIANA KALINKI

p.t.

**Męczeństwo św. Stanisława
i jego znaczenie dla Narodu**

i jest do nabycia w Firmie: F. Mildner & Sons, Herbal Hill, London, E.C.1, w cenie 1/6 za egz. (okładkę projektował inż. J. Poliński).

W tej samej Firmie są do nabycia książki: Tomasz a Kempis "O naśladowaniu Chrystusa" (7/6), oraz "Chrześcijański ustrój społeczny" (2/6).

Uwaga: W najbliższych dniach ukaże się w sprzedaży pocztówka z wizerunkiem Ryngrafu złożonego przez Młodzież Akademicką na Jasnej Górze w roku 1936.

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Adres Redakcji:

92, Eamont Court, Regents Park, London, N.W.8. Tel.: PRImrose 4350.

Prenumerata kwartalnie (6 numerów): 4s. 6d. lub \$1.50

Prenumerata półrocznie (12 numerów): 9s. lub \$3.

**Następny numer
"MYŚLI POLSKIEJ"
ukaże się
W dniu 1-go lipca.**